KAMENA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN

15.II.1961

Nr 3 (217)

ROK XXVIII

CENA 2 ZŁ

W NUMERZE: Zmowa działania ● Po zjeździe „pozytywnych bohaterów" ● Poetom Afryki ● Prasa lubelska ● Obrachunki z przeszłością ● Wojaże Naruszewicza ● Co mówią o reformie szkolnictwa ● Na „Makbeta"! ● Melanż kulturalny Zamościa ● I in.

Z PROGRAMU WYBORCZEGO Miejskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu w Lublinie

Pomimo dużego przyrostu dzieci w wieku szkolnym (około 3 tys. rocznie) nie ma dziś w zasadzie w Lublinie dziecka poza szkołą. Nie zdołaliśmy jednak usunąć wszystkich niedomagań, które nurtują nasze szkolnictwo. Dlatego też przed nowo wybraną Miejską Radą Narodową stawiamy poważne zadania w tym zakresie:

— należy oddać w okresie kadencji do użytku dzieciom Lublina 12 nowych szkół przy ulicach: Plażowej, Rolnej, Głębokiej, Krochmalnej, Mickiewicza, ZOR Tatary, których budowę rozpoczęto w roku ubiegłym, oraz rozpocząć budowę i przekazać do eksploatacji 6 dalszych szkół przy ulicach: Przemysłowej, Tetmajera, Podwal, Północnej, Nowy Świat i Biernackiego.

Ponadto wybudować: salę gimnastyczną w szkole Nr 1 i 16 oraz przedszkola przy ulicach: Bronowickiej, Biernackiego, 1 Maja, Głębokiej i na ZOR Tatary oraz letnie przedszkola w Dąbrowie.

CZŁOWIEK WSPÓŁCZESNY wobec postępu technicznego

JÓZEF REUTT

ZAWROTNY postęp techniczny ostatnich lat stawia człowieka wobec pytania: Co dalej? Dokąd jeszcze świat zajdzie? Dokąd my, ludzie, zajdziemy razem z tym światem?

Pytania te stają nie tylko przed ludźmi dorosłymi. Wiele miejsca zajmują one w myślach młodzieży, a nawet na stronicach wypracowań uczniowskich.

Oto niewielka próbka tych refleksji, zaczerpnięta z wypowiedzi ludzi dojrzałych, ze słów młodzieży akademickiej i z zeszytów szkolnych.

Ciekawe jest to, że wiek nie wywarł zasadniczego wpływu na treść poszczególnych wypowiedzi, chociaż nieraz wyraźnie zaznaczał się w ich formie. Zarówno u młodzieży, jak i u osób dorosłych, spotyka się postawę optymistyczną, entuzjastyczne ustosunkowanie się do zdobyczy techniki, i postawę pesymistyczną, upatrującą w tych zdobyczach zapowiedź przyszłej zguby ludzkości.

W wypowiedziach młodzieży jest jednak coś charakterystycznego, co bardzo rzadko występuje u dorosłych — jest to ambiwalencja ich stanowiska w stosunku do postępu technicznego. Tak oto 17-letnia uczenica pisze: „Mam nadzieję, że może będę widziała rakiety międzyplanetarne, które wiozą ludzi na Księżyc, a może ma tam pojadę (chciałabym bardzo!)". A w innym miejscu: „Boję się, czy broń atomowa nie zniszczy całego świata".

Tego rodzaju wypowiedź wyraźnie ambiwalentna reprezentuje równocześnie dwie zasadnicze postawy, łatwe do odnalezienia zarówno wśród młodzieży, jak i wśród dorosłych: postawę niemal entuzjastycznej ciekawości w stosunku do tego, co w przyszłości musi przynieść postęp techniczny i postawę lęku przed jego skutkami, obawy przed tym, że wynalazki techniczne muszą nieuchronnie doprowadzić do jakiejś katastrofy. „Jeżeli następne lata przyniosą tyle nowych wynalazków technicznych co lata ubiegłego stulecia, to albo ludzkość zdobędzie Księżyc i inne planety, albo w ogóle przestanie istnieć" — pisze uczennica XI klasy. Dla ucznia innej klasy XI „zdobycze techniki tak bardzo wpływają na charakter zajęć człowieka, wyręczając go w tylu ciężkich i wymagających wysiłku pracach, że ich dalszy postęp na pewno sprawi, że życie stanie się lżejszym i przyjemniejszym". I tu jednakże zjawia się obawa: „Ale życie przyszłych pokoleń, tak bardzo uzależnione od postępu technicznego, stanie się coraz bardziej zmechanizowane, i boję się, że może zbyt silnie ujednolicone. Bo człowiek pozbawiony całkowicie pracy fizycznej, a zajmujący się tylko pracą umysłową, nie będzie szczęśliwy!"

Autor jednego z wypracowań widzi człowieka przyszłości zajętego wyłącznie wkładaniem odpowiednich przewodów elektrycznych do odpowiednich gniazdek prądu. Technika i jej postęp wyrastają w tym świetle na siły wrogie ludzkości, pchające ją ku słabości fizycznej, ku uproszczonej i bezmyślnej nieomal automatyzacji. Nie jest to postawa lęku przed wojną atomową, atomową śmiercią, która stanie się jej koniecznym następstwem, ale obawa przed fatalizmem, tkwiącym w coraz szerszej mechanizacji życia człowieka współczesnego.

Nieco inaczej wyglądają te same sprawy w oczach czternastolatków. Wśród ich wypowiedzi znaleźć też można takie, w których entuzjazm dla postępu techniki ma dość wyraźne cechy naiwnego utylitaryzmu: zdobycze wiedzy służyć będą nie tylko wygodzie fizycznej, ale też zwolnią młodzież od jej obecnych obowiązków. „Nie trzeba będzie odrabiać lekcji, bo to wszystko zrobi robot. On sam wyliczy i napisze, sam wszystko rozwiąże". Postępujący rozwój techniki dostarczy dzieciom udogodnień mających charakter wymarzonych, cudownych zabawek: będą malutkie samolociki, tak łatwe w kierowaniu, że służyć będą właśnie dzieciom. W ogóle komunikacja odbywać się będzie w sposób wyraźnie zabawkowy: małe pojazdy niezmiernie szybkie będą służyły dzieciom w drodze do szkoły. Nie trzeba będzie pomagać w sprzątaniu, bo wszystko to zrobią same wspaniałe maszynki i wreszcie — nie trzeba będzie gotować! U niektórych jedzenie skomplikowanych dań zastąpią pastylki gotowych koncentratów, u innych, bardziej może wrażliwych na doznania smakowe, robot przygotuje wszystko do obiadu, a człowiek tylko włoży to do specjalnej maszynki i „natychmiast po kuchni rozejdzie się woń upieczonego kurczęcia" (14 lat).

W oczach najmłodszych technika pomoże do preparowania takich leków, które usuną z ziemi niebezpieczeństwo wszelkich chorób zakaźnych: „lekarze będą wykrywać nowe leki przeciw chorobom zakaźnym", „będzie lepiej rozwinięta fizyka, chemia, będą wykrywane nowe pierwiastki itd".

W całym szeregu wypowiedzi młodzieży szkolnej uzupełnieniem obrazu tego szczęśliwego świata, w którym rozwój techniki odsunie od ludzi wszelkie troski, jest powszechny pokój i zgoda: „Państwa całego świata zawrą między sobą przyjaźń i będą sobie wzajemnie pomagać". „Na całym świecie będzie panował pokój, wojen nie będzie wcale".

PODOBNIE, jak dzieci, które „zazdroszczą" tym, których w przyszłości czeka wymarzona podróż na Księżyc lub na inną planetę, i dorośli miewają nieraz pełną zapału postawę ciekawości: „Nic mnie tak nie interesuje — pisze dorosły, pracujący mężczyzna — jak moja i nasza przyszłość. Ciągle się zastanawiam nad biegiem przyszłych wypadków. Chwile wolnego czasu poświęcam na czytanie powieści fantastycznych i wtedy zaczynam oddychać naprawdę głęboko!"

Nie sam jednakże entuzjazm i radosny zachwyt wzbudza rozwój techniki. Zjawiają się wątpliwości nawet u tych, którzy w całej pełni doceniają wartości postępu w tej dziedzinie. Rysuje się niepokój o dalszy rozwój kultury, wszechstronność kształcenia intelektu, obawa przed upadkiem nauk humanistycznych, upadkiem ogólnej moralności.

„Rozwój techniki czyni trudniejszym rozwój kultury". „Rozwój nauk technicznych dzięki swojemu niebywałemu postępowi odwraca uwagę człowieka od istotnej kultury i lekceważy wartości etyczne!"

„Jesteśmy dziś świadkami nadmiernego rozwoju kultury technicznej i niedorozwoju kultury duchowej". Wypowiedzi dorosłych, a także młodzieży akademickiej pełne są tego rodzaju zdań i tym samym pełne obaw o dalsze losy prawdziwej kultury. „Uznano bowiem — pisze student — za rzecz nie budzącą żadnej wątpliwości, że kultura to tyle, co zdobycze materialne. Tymczasem ostatnia wojna wykazała, że zdobycze techniczne służą zniszczeniu wszelkich dóbr materialnych". „Zdobycze techniki służą tylko przemijającym i nieistotnym celom człowieka. Nie rozwiązują one żadnych problemów, jedynie ułatwiają życie" — pisze studentka. „Rozwój techniki demobilizuje człowieka pod względem samodzielności umysłowej, czyni go bezwładnym i bezradnym, gdy zepsuje się maszyna. Bez maszyny nie może on już dzisiaj żyć!"

Wypowiedzi te wydają się świadczyć o krytycznej postawie, ale równocześnie lękliwej i jakby bezradnej. Tak jest, tak się dzieje, osoby te widzą jakieś zło, wskazują jego źródła, ale nie wskazują na nie żadnego lekarstwa. Stają wobec tego bezradnie.

„Postęp techniczny— podaje jeden z dorosłych — zachwiał równowagę biologiczną pomiędzy człowiekiem a jego naturalnym środowiskiem. Człowiek stał się niewolnikiem maszyny,

(Dokończenie na str. 2)

NA DZIEŃ ARMII CZERWONEJ

MICHAŁ ŚWIETŁOW

Pieśń o zamieci

Przekład KAZIMIERZA ANDRZEJA JAWORSKIEGO

Wicher chaty dokoła zaśnieżył,
Nic nie widać, kurniawa, że hej!
Zamieć wyje i prosi żołnierza:
— Pozwól spocząć na piersi mi swej!

Jeszcze muszę się kręcić nad ziemią,
pośród lasów tych krążyć i pól.
Chcę się ogrzać i trochę się zdrzemnąć
na twym sercu, co drwi sobie z kul. —

Na to żołnierz serdecznie jej powie:
— Zgoda. Kładź się. Wiadomo bez [słów.
Tylko w nocy nie dmuchaj po głowie,
nie mąć moich widziadeł i snów. —

Gdy przylgnęła do serca żołnierza,
jasny miesiąc wypłynął zza wierzb,
w chatach świeczki nad rzeki [wybrzeżem —
śpi wichura i żołnierz śpi też.

Świt obudził ich ze snu oboje,
zamieć szepce: — Żołnierzu mój, dziś
za twą dobroć, za serce to twoje
chcę ci służyć, za tobą wciąż iść!

Zaśpiewajcie więc piosnkę [wraz z nami,
jak to w walkach duch w każdym [z nas rósł,
jak to żołnierz rosyjski swą zamieć
do niemieckiej stolicy aż niósł!

Po zjeździe „pozytywnych bohaterów"

ADAM OWSIKOWSKI

NIE PRZYWIOZŁEM do Lubartowa z tego zjazdu białego goździka, jakim obok innych uczestników udekorowała mnie p. Krystyna Usarek. Nakazano nam pielęgnowanie tych kwiatków przez dwa dni. Miały nas one odróżniać od zaproszonych przedstawicieli prasy, literatury, radia i telewizji. Już jednak na wieczornym przedstawieniu okazało się, że „bohaterowie" w większości pogubili swoje odznaki. Szła trudna sztuka francuska „Pan Bóg i diabeł". Pojęcie dobra i zła gubiło się w oryginalnych dociekaniach bohaterów na scenie. „Bohaterowie pozytywni" kojarzyli wrażenia teatralne z wrażeniami pierwszego dnia obrad. Kim ostatecznie są? Gdzie jest ich miejsce w środowiskach opornych i trudnych? Jak i kiedy zostaną ustawione kryteria oceny ich pracy przez tak zwaną opinię społeczną i czynniki miarodajne? Nie było rzeczywiście czasu na pamięć o czerwonych i białych goździkach.

W powitalnej mowie Naczelnego Dyrektora Polskiego Radia, Sokorskiego padły takie słowa: Być pozytywnym bohaterem to trudna sprawa. Trzeba umieć zachować proporcje między osiągnięciami i potknięciami... W tym lapidarnym stwierdzeniu ukryta jest cicha tragedia wielu działaczy kulturalnych. Przeżył ją lekarz dentysta, Zdzisław Stefański z Augustowa, kiedy odważył się pokrywać z własnej kieszeni koszta eksperymentu, który miał na celu podniesienie stanu zdrowotnego okolicznej ludności. W Augustowie wydało się podejrzanym, że ktoś chce ryzykować pieniądze. Przeżyli ją inni działacze, którzy odważyli się skrytykować działalność kulturalną pewnej instytucji handlowej, ujmującej w swym sprawozdaniu takie pozycje, jak sklep z wypożyczalnią sprzętu gospodarczego lub nagrody w konkursie uprzejmości dla ekspedientek. Przeżył ją dr Szantruczek z Międzyrzecza (woj. zielonogórskie), któremu chciano raz przerwać koncert szopenowski z powodu nieopłacenia kosztów manipulacyjnych.

Niektórzy uczestnicy zjazdu po otrzymaniu zaproszenia byli interpelowani w swych środowiskach. Co to za bohaterowie? Dlaczego właśnie oni, a nie my? Po co ich wzywają do Warszawy? Emocjonalny ładunek tej zazdrości i ciekawości rósł oczywiście w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do poziomu kulturalnego otoczenia. Trudno było opowiadać, że nazwę „Pozytywni bohaterowie naszych audycji" wymyślili pracownicy działu literackiego Polskiego Radia. Nikt też pewnie nie uzewnętrzniał swoich odczuć, że reprezentuje w tym wypadku szerszy ogół działaczy kulturalnych. Zarówno tych, którzy zetknęli się z mikrofonami ekipy radiowej, jak i tych, do których ekipa ta nie dotarła. Powiedziałem zresztą o tym w drugim dniu obrad, kiedy udzielono mi głosu. Dyrektor departamentu Ministerstwa Kultury, ob. Kałużny, potwierdził to w jednym ze swych przemówień. Wyglądało to mniej więcej tak: Gdyby trzeba było zaprosić wszystkich pozytywnych bohaterów z kraju, to tylko z takich powiatów, jak Ełk, Lubartów i Nowy Targ przyjechałoby na zjazd po 150 nauczycieli (Lubartów na tym miejscu specjalnie podkreślam, gdyż mam trochę pretensji do autorki „Szopki" zamieszczonej w ostatnim numerze „Sztandaru Ludu" z ub. roku). Wiceminister Garstecki powiedział, że bohaterstwo uczestników zjazdu polega na tym, iż nie czekając na nikogo wprowadzają ożywczy ruch w swoim środowisku i udowadniają, że wszędzie można stworzyć dla nudzącej się inteligencji (podkreślenie moje) piękną robotę.

ROZGLĄDAŁEM się z zainteresowaniem w dekoracjach sali (Stołeczny Dom Kultury). Brak zgorzkniałości i poczucie humoru w wypowiedziach uczestników dobrze harmonizowały z pewnymi elementami dekoracyjnymi. Oto wóz radiowy, na którego szczycie sylwetka p. Usarek, wypatrującej pilnie przez lupę „białych plam" w kulturze terenowej. Obok napis „Kultura pilnie... oszukiwana". Ujęcie nasuwa różne skojarzenia. Kiedy zdarzyło mi się raz na pewnym zebraniu w Lubartowie przypomnieć, że Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Lubartowskiej oczekuje na drugi pokój dla projektowanego muzeum, tylko z ust osoby prowadzącej odpowiedzialny dział pracy usłyszałem uspokajające zapewnienie, że lokal w odpowiedniej chwili będzie dostarczony. Kilka innych osób uważało za stosowne popatrzeć na mnie z uśmiechem mocno sceptycznym, jak gdybym był przedstawicielem jakiejś lipy. Jak tu rozgraniczyć, kto właściwie kogo oszukuje. Prof. Szaniawski z Poznania opowiadał, że w jednym z miast, tak zwane czynniki miarodajne, nie mogąc się opędzić żądaniom budżetu na sprawy kultury, przeznaczyły na nie sto tysięcy złotych z funduszu walki z alkoholizmem...

W pewnym miejscu przeczytałem taki, ujęty w ornamenty werset: „Od samego mieszania herbata nie stanie się słodsza". Zapisałem go sobie jako jedyny przejaw troski o uprzytomnienie uczestnikom zjazdu pewnych psychologicznych podstaw pracy kulturalno-oświatowej. Tylko z przemówień przedstawiciela KC PZPR, tow. Kraśki i wiceministra Garsteckiego zapamiętałem stwierdzenia, że działacze kulturalni zmieniają oblicze i świadomość środowiska. Uczestnicy zjazdu, zaharowani organizatorzy zespołów, klubów, stowarzyszeń, nie dojrzeli tego ważnego aspektu swej pracy. Wielu z nich dostosowało się w swej pracy do wspomnianego wersetu. To bezwiedni dobrzy psychologowie, chociaż najczęściej nie wiedzą, że dla skutecznej realizacji zadań pracy kulturalno-oświatowej konieczna jest wiedza psychologiczna, stanowiąca jej teoretyczną podporę. Nie mieszają w terenie, nie wytaczają posiadanego często arsenału broni przeciwko tym, którzy ich za maniaków i dziwaków uważają. Ich praca jest owym cukrem do herbaty. Bardzo wielu uczestników zjazdu rejestrowało dobrą dbałość o ruch kulturalny ze strony komitetów powiatowych PZPR i prezydiów rad narodowych, kierownictw zakładów pracy i grup robotniczych. Tylko wspomniany Augustów jest jeszcze pod tym względem niedoszlifowany. Obrażono się tam na obiektywną i rzeczową audycję Redakcji Terenowej Polskiego Radia i zażądano powtórzenia audycji, bo słyszano o niej... tylko z plotek. Takich środowisk jak Augustów znalazłoby się trochę i w naszym województwie.

Z poczuciem pewnej niższości słuchałem sprawozdań przedstawicieli z Jeleniej Góry. Tamtejsze Towarzystwo Klubów Robotniczych organizuje współżycie między klubami różnych zakładów pracy, w wyniku czego zjawiły się tam różne formy współzawodnictwa. Przewodniczący Prez. PRN w Jeleniej Górze, ob. H. Janulewicz opowiadał o tej pracy jak o zwykłej rzeczy. Zygmunt Kowalczykiewicz, monter z Konina, współtwórca kaba-

(Dokończenie na str. 8)

Człowiek współczesny wobec postępu technicznego

(Dokończenie ze str. 1)

którą sam stworzył. Bez niej nie potrafi nawet odbywać spaceru. Z fotela w samochodzie przenosi się na składany fotel na trawie czy w lesie i siedzi słuchając kieszonkowego radia".

Wielu osobom wydaje się, że postęp techniki jest czymś groźnym, a równocześnie uważają go za proces, który raz rozpoczęty nie da się już zatrzymać. Tkwi w nim pewien fatalizm i taką fatalistyczną właśnie postawę obserwujemy niejednokrotnie: „Człowiek tak się związał z maszyną i tak się od niej uzależnił, że stał się jej niewolnikiem (np. samochód, telefon). Technika nowoczesna pchnęła człowieka na drogę, na której nie może się już zatrzymać, ani też zrobić choćby jednego tylko kroku wstecz..."

Do tej fatalistycznej postawy w stosunku do możliwości rozwoju kultury dołącza się jeszcze taki sam fatalizm w poglądzie na sprawę postępu moralnego. I on wydaje się odsunięty w jakąś niezmierzoną dal, nieosiągalny w warunkach technicznego postępu: „Postęp technicznych nauk nie oznacza postępu ludzkości. Stworzył on sprzeczność pomiędzy naukami technicznymi a moralnością".

Skoro więc technika, która coraz bardziej oddala człowieka od życia w prostych, surowych warunkach stworzonych mu przez naturę, prowadzi właściwie do jego dekadencji — jedynym ratunkiem wydaje się właśnie powrót do tej natury. „Cywilizacja współczesna dochodzi już do zenitu, a potem przeminie razem z całą przesadą swojej organizacji technicznej. Ludzkość na nowo zacznie żyć życiem wegetatywnym... ludzie zaczną od nowa życie prymitywne".

Ciekawe jest, że takie przewidywanie jakiejś cykliczności w dziejach świata, jakiegoś powrotu do punktu wyjścia, nie jest stanowiskiem odosobnionym. Nie wszędzie sformułowana jest ściśle hipoteza przyczyn powrotu do początków cywilizacji. Dwa razy jednakże w wypowiedziach osób dorosłych zjawia się obraz zniszczenia świata w wojnie atomowej i odrodzenia się ludzkości na gruzach tego wszystkiego, co było dawniej, ludzkości nieświadomej dawnej cywilizacji, udoskonaleń technicznych, kontaktów z kosmosem, całej epoki mechanizmów i maszyn.

NIE WSZYSCY jednakże przybierają postawę bierną, postawę bezczynnego, tragicznego przewidywania skutków tego, co się dzieje, na co patrzą, co ich otacza. Z kulturą jest źle, a więc ratujmy kulturę! Przede wszystkim nie zapominajmy o tym, że skoro „rozum techniczny zawiódł oczekiwania ludzkości — potrzebne jest serce!". „Idea postępu technicznego nie zastąpi prawdziwego postępu moralnego". Właśnie ten postęp moralny — to przeciwwaga postępu technicznego, którego następstwa tak przerażają niektórych.

Pośród studentów humanistyki wielu uważało podniesienie nauk humanistycznych za konieczny warunek podniesienia kultury ogólnej, za nieodzowną przeciwwagę dla zawrotnego postępu techniki. W wypowiedziach studentów znacznie wyraźniej, niż w wypowiedziach ludzi dorosłych zarysowuje się postawa pozytywnego nastawienia w stosunku do życia i wszelkich jego przejawów. „Żyć warto. Na pewno tak jest!" — pisze studentka III roku. Jeżeli inni mają tu jakieś wątpliwości, najczęściej przyczynę ich wyjaśniają tym, że „wojna jądrowa może wybuchnąć jutro, pojutrze, albo za kilka lat". Ta groza wojny właśnie nie pozwala w pełni cieszyć się tym, że się żyje, że bierze się udział w budowie nowego świata. I dlatego konkluzja: „Postęp techniczny może być piękny, może być wspaniały, ale tylko wtedy, gdy wszyscy ludzie się pogodzą, gdy nie będzie państw, które by chciały inaczej rozwiązywać problemy, aniżeli drogą pokojową". Pokój na świecie, zgoda i przyjaźń między ludźmi, a wtedy „wszelki rozwój będzie czymś wartościowym". Tak myślący człowiek będzie mógł głośno zawołać — „Nie zgadzam się!" wtedy, gdy będzie miał odpowiedzieć na pytanie, czy przyszłość ludzkości istotnie przedstawia się ponuro.

Dla ludzi tak myślących rozwój techniki ostatniego okresu jest właśnie tym rozwojem tworzącym, on to bowiem „podniósł przeciętny poziom życia całej ludzkości, doprowadził do wyrównania kulturalnego pomiędzy rozmaitymi klasami społecznymi i rozmaitymi narodami, stapiając je coraz silniej w nową, prawdziwie ludzką jedność. To właśnie rozwój techniczny stworzył człowiekowi takie możliwości działania i postępu, o których poprzednie epoki nie mogły nawet marzyć. Przedłużono życie ludzkie, podniesiono zdrowotność setek i milionów dzieci i ludzi dorosłych. Nieustanne zmiany wyrwały człowieka z więzów tradycji, rzucając go w nurt zwycięskiego prądu postępu i walki o nowy okres w dziejach ludzkości".

Z zarysowanych tu postaw najbarbardziej pozytywna jest właśnie ta ostatnia. W rozwoju techniki odróżnia ona elementy zdrowe od szkodliwych. Rozwoju tego nie powstrzymać nie zdoła. Prawo postępu jest bezwzględne. Człowiek dzisiejszy stoi wobec alternatywy: albo biernie dać się unosić prądowi postępu, nic nie budując i nic nie tworząc, albo świadomie i dobrowolnie iść naprzód, walcząc o to, by wszystko nowe, co powstaje, powstawało jedynie dla dobra i szczęścia ludzkości.

Józef Reutt

*) Z materiałów Konferencji Naukowej w Kazimierzu nad Wisłą (V.1960), poświęconej zagadnieniu: „Postęp techniczny a nauki społeczne".

ZMOWA DZIAŁANIA

ANDRZEJ ALBIGOWSKI

Powiat łukowski jest jednym z tych powiatów, o których mówi się w potocznej charakterystyce, że zabity deskami, że diabeł mówi dobranoc. Powiedzonka te w mniejszym stopniu odnoszą się do samego powiatowego miasta, natomiast w całej „krasie" ukazują sytuację łukowskiej wsi.

Bo i to, że zabita deskami, i to, że diabeł mówi dobranoc, jest tu w przenośni prawdą.

*

Serokomla jest niewielką osadą położoną na samym krańcu powiatu. Do przystanku autobusowego w Wojcieszkowie lub Adamowie jest ok. 6 km. Do pociągu 13. Kiedyś była to kwitnąca i ludna miejscowość. W ubiegłym stuleciu Serokomla przestała być miastem, pozostała osadą zagubioną wśród lasów i piasków, przyzwyczaiła się liczyć na własne tylko siły..

*

Adamów. Czworokątny rynek wskazuje na to, że miasto tu przestało istnieć niedawno, zachowała się jeszcze konwencja urbanistyczna i jarmarki. Co tam istniało do niedawna poza pijaństwem i nudą trudno powiedzieć. Chyba po klasztornemu odseparowane od rzeczywistości liceum czyli jedenastolatka i GS. Oba, jak dorożkarskie konie w okularach, nie dostrzegają niczego obok, nie dostrzegają życia, ciągną jedynie swe wózki do ciasno pojmowanego celu.

*

Okrzeja. Słynna Okrzeja, w której w kościele parafialnym znajduje się księga chrztu Sienkiewicza, a sufit tego kościoła pokrywają sceny z „Quo vadis". Ta właśnie Okrzeja słynęła do niedawna z marazmu i bójek weselnych.

*

Miejscowości takich można by w powiecie łukowskim wymienić jeszcze wiele. Jedne były kiedyś miasteczkami, inne nie. We wszystkich jednak oświata i kultura ograniczała się do niedawna do nauki w szkole i zabaw gęsto zakrapianych ognistą wodą, a czasem i krwią podchmielonych.

Sytuacja ta ostatnio zaczęła się radykalnie zmieniać. Przywrócono godność spostponowanym przez domorosłych publicystów świetlicom i pracy kulturalno-oświatowej. Pomyślano o dokształcaniu kierowników wiejskich zespołów teatralnych, rozszerzono sieć bibliotek gromadzkich, wybudowano wiele nowych szkół i świetlic. Zainteresowały się pracą kulturalną i gromadzkie rady narodowe i niektóre szkoły. Rozpoczęto działanie.

Każdy jednakże działał na własną rękę. Brak koordynacji odbijał się na efektach tej pracy. Powiatowa Komisja Koordynacyjna niewiele umiała na to poradzić.

Inicjatywa zwołania Powiatowej Konferencji Kulturalno-Oświatowej wyszła od Komitetu Powiatowego PZPR. I sekretarz Wiktor Chojnacki, sekretarze i członkowie Egzekutywy szybko pojęli potrzebę koordynacji zamierzeń, potrzebę ożywienia życia kulturalnego. Okres przygotowawczy do konferencji, która ma zbadać potrzeby powiatu w zakresie pracy kulturalno-oświatowej i bazy dla potrzeb ruchu kulturalno-oświatowego na lata 1961—65, rozpoczął się powołaniem gromadzkich i wiejskich Komisji Upowszechnienia Kultury

Okres ten znamionuje także duże zainteresowanie sprawami kultury i podejmowanie wielu cennych inicjatyw w kierunku ożywienia życia kulturalnego. W Serokomli zainteresowanie sprawami kultury wyprzedziło inicjatywę KP PZPR w Łukowie.

Serokomla pierwsza dała przykład, jak Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej powinno traktować sprawy kultury. Z wiosną ub. r. podjęto tu uchwałę o wyremontowanie lokalu na świetlicę i stworzenie placówki dla pracy kulturalnej, otoczono troskliwą opieką Bibliotekę Gromadzką i stworzono odpowiedni klimat do pracy kulturalno-oświatowej. Jest to zasługą w głównej mierze przewodniczącego Prezydium GRN Tadeusza Kaczana, jak i sekretarza Prezydium GRN Jana Szlachetki.

W Okrzei kierownik szkoły Władysław Józwik w jednej z sal szkolnych szkoły — pomnika zbudowanej ka

(Dokończenie na str. 12)

KAMIL BEDNARZ

Poetom afrykańskim

Przekład

KAZIMIERZA ANDRZEJA JAWORSKIEGO

Był czas, gdy jedynie z daleka,
jedynie pod arkuszem cienkim stronic w książce
brzmiało ciężkie bębnienie,
w którym wtedy my — dzieci słyszeliśmy tylko
rytmiczne uderzenia
twardych pęków ciemności i echa,
ale to Afryka mówiła,
głosem bębnów i pieśnią tam-tamu,
pijąca z mitów pradawnych otchłani,
ale już wtedy mówiąca nieśmiało:
„I dla nas... kiedyś...".

Nie znam was, afrykańscy poeci,
chyba że z nazwisk, które trudno zapamiętać,
nie znam ciebie, José Teureiro, ni ciebie, Kalungano,
czy ciebie, Viriato da Cruz, czy ciebie, Noemio
[de Sousa,
a jednak mówiłem z wami
cienkimi lodyżkami waszych wierszy,
jak by to były delikatne rurki
stąd aż do was,
przerastające przez ziemię,
zakończone tu u nas kwiatami
stokrotek i pierwiosnków,
a tam u was — bo ja wiem czym...

Był czas, już minął,
bębny Afryki mówią bardziej zrozumiale,
a i my już nie jesteśmy dziećmi.

I poezja jak dotąd wyprzedza telewizję,
wystarczy sekunda
i idę z tobą,
José Teureiro z wyspy Sao Tome,
idę z tobą po Europie —
ty „z sercem w Afryce", ja z sercem w Czechach —
idę z tobą, ani wiesz o tym, właśnie w chwili,
gdy kroczysz zamglonymi ulicami
miast europejskich
i wkoło szepcą:
„Popatrz, to Murzyn! (a to ci dopiero!)
Czarny jak węgiel! (a to ci heca!)
Ten się opalił! (to zazdrość)"

I jestem z tobą, Kalungano z Mozambiku,
coś w kołysankach wyrósł kolibrowych,
i z tobą, Noemio de Sousa, także z Mozambiku,
spotykamy się wilgotną mozambijską nocą,
przynaglają nas z dala powtarzające się głosy marimb,
dolatujące nie wiadomo skąd,
a ty się budzisz w swym domku z drzewa i cynku,
otwierasz radio, słyszysz
murzyński spirituel z Harlemu —
Let my people go! —
i podniecony zasiadasz przy stole
i piszesz wiersze...
I nad twym stołem pochyla się matka,
czarna z zdartymi rękoma i zmęczoną twarzą
i brat twój Ze i wszyscy ci z czarną cerą
śpiewają z tobą — „O niech mój lud kroczy!".

I z tobą jestem, Viriato da Cruz z Angoli,
jestem z tobą i poznaję i twoją matkę,
w jej głosie brzmią, jak mówisz, z dumą
trzeln głosy, pól ryżowych, plantacji kauczuku,
głosy z Kuby, Brazylii, Alabamy, Virginii i Karoliny,
głosy z cukrowni, farm, plantacji, pampasów i fabryk,
te czarne głosy, dla których
skończyłeś wiersz wielkimi literami
DZIEŃ LUDZKOŚCI,
tak, te czarne głosy, co w domu mają podobną
[czułość i barwę
akcenty smutku i dobroci jak i głosy białe...

Niebo na żagiew stlałe,
piach gorący jak kawa przy paleniu,
ziemia drżąca przy każdym kroku czarnymi
[rytmami —
taka jest Afryka dla mojego ciała.
Mego serca nie starczy, by ją objąć.
A przecież od lat już pieścimy się niemal z Afryką,
z Afryką czarnych pieśni i rytmów tanecznych,
które opadły Europę po pierwszej wojnie,
płaczemy z Afryką w jej czarnych wierszach,
uczymy się abecadła ludzkości przyszłych czasów,
co nie będą rozróżniać kolorów skóry.

I sam już nie wiem, jak nagle zgubiłem wasze głosy,
poeci afrykańscy,
może to naturalny był koniec rozmowy,
może nazbyt poezja męczy,
był wieczór, była już noc,
wyszedłem na balkon
patrząc na pustkę ulic kamiennego miasta.

Tam gdzieś w ciemnościach już może leciała
rakieta ku Słońcu
i byli w niej ludzie,
tam gdzieś w ciemnościach się rodził dzień przyszły,
dwudziestego pierwszego stulecia,
szczęśliwy dla całej kuli ziemskiej,
ale tam gdzieś w ciemnościach
dotąd huczało wzburzone morze wokół Afryki
i słychać było czas jak cykanie pozytywki
[w telefonie,
słychać było czas
i były to właściwie słowa tym bardziej wymowne,
spokojne, pewne i nie powstrzymane,
głoszące całemu światu —
jak na taśmie świetlnej gazety nad placem —
wol-na A-fry-ka zwy-cię-ży-ła

Wasza Afryka wyśniona, czarni poeci...

PRASA LUBELSKA 1939–1945

ROMAN ROSIAK

Kamena. R 28: 1961 nr 3 s. 3

KONSPIRACJA

WYBUCH II wojny światowej spowodował, że wszystko, co zdobyła prasa naszego województwa przez blisko 300 lat — poszło na marne. Ale czy rzeczywiście wszystko? To, że na miejsce wydawanych przed wojną sanacyjnych pism, jak: „Express Lubelski i Wołyński" czy „Ziemia Lubelska" — Niemcy zaczęli wydawać „Nowy Głos Lubelski" — nie było faktem najważniejszym i nie świadczyło o upadku prasy. Ona była nadal, zeszła tylko do podziemia, by pełnić rolę agitatora. Poza Warszawą Lubelszczyzna była największym ogniskiem konspiracyjnego ruchu wydawniczego. To tutaj rodziły się gazetki, biuletyny, ulotki, które zagrzewały społeczeństwo do walki i pozwalały mu łatwiej znieść jarzmo niewoli.

O książce polskiej, polskiej gazecie i polskim słowie w czasie okupacji Tadeusz Kubiak tak pisze w jednym ze swoich wierszy:

Nad brzegiem rzeki smutku i rzeki zadumy.
jak ją nazwał Broniewski — oddział śpiewający
zwierzęcą nienawiścią chciał pieśń twoją stłumić
i ścigał twoje słowo bies głupi, pies gończy.
Więc w podziemia schodziłaś, ukryta na piersi
pod bluzą niedorostków i bielą koszuli.
Któż od ciebie nam serca mógłby okryć czulej,
potrzebna tak jak życie — wróg milczącej śmierci.

Chyba nigdy jeszcze prasa polska nie miała tak wdzięcznych odbiorców jak właśnie w latach wojny. Rozchwytywano bibułę w rekordowym tempie, podawano z rąk do rąk, często aż do całkowitego zaczytania.

Najpoważniejszą rolę odegrały w tym zakresie wydawnictwa PPR i BCh. Szczególnie dużą poczytnością cieszył się „Żołnierz Lubelszczyzny", wydawany w Trzydniku Małym przez Aleksandra i Edwarda Szymańskich oraz Szymona Krakowskiego. Obok tej gazetki można śmiało postawić „Ostatnie Wiadomości" redagowane przez Jana Kandla, jak również „Razem na Niemca" — wydawane przez Gustawa Alefa i Stanisława Genszarskiego czy wreszcie „Jeszcze Polska nie zginęła" pod redakcją Zofii Satanowskiej.

Trudno też nie pamiętać jeszcze „Wiadomości" wydawanych w Wojciechowie. „Trybuny Ziemi Lubelskiej", „Partyzanta", „Wolnego Ludu", „Orlich Ciosów", „Biuletynu Polskiego", „Ech Leśnych" itd. Osobno trzeba ocenić organ WRN pt. „Rada Narodowa" oraz tygodnik „Głos Ludu".

Aby mogły się ukazywać dziesiątki nielegalnych pism i odezw, musiał się na to złożyć wysiłek tysięcy ludzi: bezimiennych autorów, redaktorów, drukarzy i kolporterów.

Drukowano i wydawano pisma konspiracyjne, gdzie się tylko dało, nawet w pasiece, jak to miało miejsce w przypadku „Orlich Ciosów". Specjalne miejsce należy się tu drukarni lubelskiej noszącej nazwę „Popularnej". Właścicielami jej byli: Aleksander Michalski i Józef Rybiński. Właśnie tu zorganizowana została grupa drukarzy, którzy utrzymywali kontakt z podziemiem. W tajemnicy przez Niemcami, a nawet niewtajemniczonymi kolegami, drukowano tu ulotki, broszury, afisze, dowody osobiste, przepustki itp. Utrzymywano także kontakt z oddziałami partyzanckimi, zaopatrując drukarnię w czcionki i papier. W marcu 1944 r. Niemcy położyli kres tej działalności, skazując na śmierć 12 drukarzy. Ich ofiara nie poszła jednak na marne. W 4 miesiące później powstała Polska Ludowa. Trzeba było zaczynać znowu od początku.

ZACZĘŁO SIĘ W CHEŁMIE

DATĄ narodzin sztuki drukarskiej w Odrodzonej Ojczyźnie stał się dzień 21 lipca 1944 roku, a jego kolebką — Chełm. Zaszczyt ten spotkał maleńką drukarenkę p. Solskiej. Tutaj właśnie dwaj zecerzy: Jacek Zajączkowski i Tadeusz Maruszewski składali przez całą noc tekst historycznej odezwy, by po wielu korektach już rano mogły wyjść wydrukowane pachnące jeszcze świeżą farbą, arkusze Manifestu.

Mimo wyraźnie niesprzyjających warunków Chełm nie rezygnował z niepowtarzalnej okazji zapisania się w dziejach polskiej sztuki drukarskiej. Właśnie 23 lipca wydany został pierwszy, wprawdzie jeszcze mały i skromny, skompletowany po drodzie do Lublina numer „Rzeczypospolitej", pierwszego dziennika wolnej Polski. Tutaj też, już nieco później, bo 28 września — wyszedł pierwszy numer gazety I Korpusu Pancernego — „Pancerni".

STAN DRUKARNI LUBELSKICH

Zasadniczy ciężar wszystkich problemów informacyjno-propagandowych, wydawniczych i innych spadł jednak na Lublin, który przez pół roku był stolicą Polski. Do nowych, gigantycznych zadań drukarstwo naszego miasta zupełnie nie było przygotowane. Tymczasem trzeba było przystąpić do pracy natychmiast i wykonywać tysiące ulotek, odezw, broszur, książek i czasopism — a wszystko to w zawrotnych, jak na dotychczasowe stosunki lubelskie, wielotysięcznych nakładach.

Rok 1944 zastał drukarstwo lubelskie w jak najbardziej niekorzystnej sytuacji. Przetrwało okupację 9 drukarń, z czego tylko Lubelskie Zakłady Graficzne Adama Szczuki (Zamojska 12) i Zakłady Graficzne Józefa Pietrzykowskiego (Kościuszki 4) były jako tako zaopatrzone. Pozostałe 7 drukarenek było w opłakanym stanie, przez okupację bowiem trudniły się one przede wszystkim wyrabianiem stempli i drukowaniem klepsydr oraz drobnych druków. Do braku maszyn, pomieszczeń i fachowców trzeba dodać jeszcze tylko jedno: brak papieru, a otrzymamy wówczas wymowny obraz warunków, w jakich startowało drukarstwo lubelskie w lipcu 1944 roku.

BOREJSZA OBEJMUJE „DOWÓDZTWO"

Na pytanie, czy i jak w tych arcytrudnych okolicznościach nasza poligrafika zdała egzamin, odpowiedzmy fragmentem wspomnień Jerzego Putramenta:

„Pamiętny dzień 1 sierpnia 1944 roku. Wylecieliśmy z Moskwy, redakcja pierwszej gazety w wyzwolonej Polsce. Mieliśmy już tytuł: „Rzeczpospolita". Mieliśmy redaktora: Borejszę. Było nas kilku w jego zespole. Nie wiedzieliśmy tylko, gdzie będziemy gazetę robić, na jakim papierze, na jakich maszynach, w jakim mieście.

Wylądowaliśmy na małym lotnisku wojskowym w Chełmie. Borejsza ruszył do miasta — PKWN przeniósł się już jednak do Lublina.

Drugiego sierpnia byliśmy w Lublinie — czwartego zaś wyszedł pierwszy lubelski numer „Rzeczypospolitej".

Pierwszoplanową rolę w tych gorących dniach odegrał mjr Jerzy Borejsza, redaktor „Rzeczypospolitej", kierownik Wydział Informacyjno-Prasowego PKWN, założyciel Czytelnika etc. On też, wspólnie z Kazimierzem Milczewskim i Czesławem Kuleszą, podjął się b. trudnego zadania założenia nowej drukarni w Lublinie. Wybrano szybko obiekt przy ul. Zamojskiej 24. Następnie jednym samolotem wystartował do Rzeszowa Kulesza, drugim zaś do Zamościa Milczewski. Obaj mieli jedno zadanie: załatwić dostawę papieru do Lublina. 18 sierpnia 1944 roku na samochodach pożyczonych przez armię radziecką przewieziono pierwszy transport papieru z Rzeszowa. Cały wysiłek w tym czasie skierowany był na zabezpieczenie systematycznych dostaw, ale papieru ciągle brakowało. Gatunek, format czy gramatura, nie mówiąc już o kolorze — były to pojęcia zupełnie nieznane w owych czasach. „Odrodzenie" drukowano nawet na pakowym papierze, „Gazetę Lubelską" na zielonym, czerwonym czy niebieskim. W momencie najbardziej tragicznym, kiedy wydawało się, że drukarnie staną — nadeszły pierwsze transporty papieru i farby ze Związku Radzieckiego. Nic nie znaczyło to, że był on rolowy i trzeba go było przecinać i przystosowywać do potrzeb i formatu poszczególnych pism. Najważniejsze, że był. O tym, jak wielkie było zapotrzebowanie na papier może zaświadczyć fakt, że 100 numer „Rzeczypospolitej" osiągnął nakład 100.000 egz. Gazety i pisma mnożyły się jak przysłowiowe grzyby po deszczu. 3 września wyszedł pierwszy numer tygodnika „Odrodzenie", 4 sierpnia — „Gazeta Lubelska", 1 października — „Lubelski Dziennik Wojewódzki", następnie powstały pisma: „Robotnik", „Głos Ludu", „Zagon Ojczysty", „Wieś", „Barykada Wolności", „Wici", „Stańczyk", „Walka Młodych", „Promyk", „Promyczek", „Polska Zbrojna" i inne.

LUBLIN SAM SOBIE RADZI

Po imponującym starcie wszystko już w lutym 1945 r. wróciło do normy. Redakcje poszczególnych pism systematycznie zaczęły przenosić się do Warszawy. Z czasem zostały w Lublinie tylko „Sztandar Ludu" i „Kamena". Po latach przyszła kolej na „Kurier Lubelski" i „Głos Ziemi Lubelskiej". Miasto nasze stało się więc posiadaczem dwu gazet codziennych, jednego dwutygodnika literackiego i jednego tygodnika — organu WRN. Trzeba jeszcze do tego dodać liczne pisma zakładowe jak „Głos FSC", „Echo Poniatowej", „Głos Świdnika", „Głos KFWM", trzeba też wymienić „Rolnika Lubelskiego", „Bibliotekarza Lubelskiego", by wreszcie dojść do licznych czasopism i wydawnictw naukowych z „Annales" UMCS, „Rocznikiem Lubelskim" oraz „Medycyną Weterynaryjną" na czele. Trudno w tym miejscu nawet wy-

(Dokończenie na str. 11)

OBRACHUNKI Z PRZESZŁOŚCIĄ

KONRAD BIELSKI

O WCZESNYCH rannych godzinach osiągnęliśmy Kowel *)

W dziwny sposób to kresowe miasteczko tylokrotnie znajdowało się na skrzyżowaniu moich dróg. I zawsze w chwilach przełomowych. W dzieciństwie była to brama na wielki świat, przez Kowel prowadziły od nas wszystkie drogi, była to stacja węzłowa, której ominąć było nie sposób. Pamiętam dużą restaurację dworcową, długie oczekiwanie na pociągi, tradycyjny „zielonyj borszcz" i herbatę z monstrualnej wielkości samowaru. Przez Kowel w roku tysiąc dziewięćset piętnastym uciekaliśmy z płonącego domu. Przez ten sam Kowel wracaliśmy teraz do Kraju. Nie przeczuwałem wówczas, że jeszcze niejednokrotnie powiąże się to miasto z moim losem. Że w roku dwudziestym, że w roku trzydziestym dziewiątym... Nie, o tym wszystkim nie myślałem siedząc wraz z całą rodziną na brudnej, zapchlonej, od tygodni nie zamiatanej podłodze, w odrapanej sali.

Myśleliśmy wtedy wszyscy, co z nami dalej będzie i gdzie skierować swe kroki. Po opuszczeniu wagonu kolejowego, ktory przez szereg tygodni był naszym domem, znaleźliśmy się bez dachu nad głową, wprawdzie we własnym Kraju, ale całkowicie opuszczeni i samotni. Dawne kontakty z ludźmi pogubiliśmy i potracili przez te lata rozłąki, a nowych nie umieliśmy jeszcze nawiązać. Wszystko dokoła było dla nas obce i niezrozumiałe. Jak z tymi wojskowymi w Sławucie, nie znaleźliśmy zrazu wspólnego języka. Pieniądze się skończyły. Otrzymaliśmy przed chwilą w oddziale dworcowym RGO kilka egzotycznych dla nas banknotów o minimalnej sile nabywczej, bony na obiad i kolację we wspólnej kuchni i dokumenty, które nam pozwalały podróżować gratis, bez żadnych ograniczeń, w obrębie (nie ustalonych jeszcze wówczas) granic Państwa Polskiego.

Wobec tego jedno tylko pozostawało nam uczynić: udać się niezwłocznie w dalszą podróż. Ale dokąd? Nad tym właśnie problemem zastanawialiśmy się siedząc na podłodze, bo nieliczne ławki były zajęte. Brudną salę wypełniało mnóstwo ludzi, wśród których przeważali wojskowi. W naradzie brali udział moi rodzice i dwie ciotki, siostry matki, stanowiące najbliższą rodzinę. Ja przysłuchiwałem się rozmowom, wyśmienicie zorientowany w sytuacji, dwaj moi młodsi bracia drzemali. Trzy miejscowości były brane pod uwagę, jako nasza ewentualna siedziba. Bliski Włodzimierz, gdzie rodzice spodziewali się spotkać dawnych znajomych, uzyskać jakąś pracę i odzyskać niektóre depozyty; niedaleki Chełm, gdzie podobno brat ojca był notariuszem, i nieco dalszy Lublin, co do którego była absolutna pewność, że tam mieszka liczna nasza rodzina i wielu ludzi bliskich i zaprzyjaźnionych. Ponieważ wszystko przemawiało za Lublinem, wybór padł na Włodzimierz. Tak to zazwyczaj bywa na naradach familijnych — kiedy większość stanowią kobiety, a główną rolę odgrywają bodźce na wskroś uczuciowe.

Nie ulega wątpliwości, że wszyscyśmy skrycie marzyli o odzyskaniu przynajmniej części rzeczy przed laty pozostawionych, choć nikt się do tego nie chciał przyznać, by sprawy nie zauroczyć. Zresztą mając przed sobą wszystko niepewne i mgliste, tam przynajmniej mogliśmy spodziewać się punktów stałych, chociażby o znanym pejzażu. Pełni więc takich myśli i nadziei władowaliśmy się znowu do wagonów.

Pogoda zdecydowanie popsuła się. Zaczął siąpić dokuczliwy, zimny deszcz. Porywisty wiatr pędził niskie chmury. Prędko zapadł zmierzch i ogarnęły nas atramentowe ciemności. Po dłuższym postoju pociąg bez świateł, z powybijanymi szybami, nieopalony, pogrążył się w tłuste, lepkie czeluście nocy.

O świcie byliśmy już na miejscu. Zmięci, zmarznięci i głodni rozpoczęliśmy niezwłocznie wędrówkę po mieście „w poszukiwaniu utraconego czasu". Dopiero wówczas wypadło mi się zadumać nad względnością tego pojęcia. Nieobecność nasza w tych stronach trwała zaledwie cztery lata. Te cztery lata stanowiły przepaść nie do przebycia. Znaleźliśmy się w innym, obcym otoczeniu. Witano nas serdecznie, ale z wyraźnym zakłopotaniem. Część ludzi, których pożegnaliśmy przed czterema laty, poumierała, wielu porozjeżdżało się, a ci, co zostali, byli już nie z tego przedwojennego świata. Dawny i przedwojenny — wtedy to po raz pierwszy spotkałem się z tymi pojęciami, które mi miały później towarzyszyć przez całe życie.

Wszystko więc było inne, ludzie, warunki, obyczaje, ba, nawet pejzaż utracił coś ze swej stabilności.

Ot, na przykład taki pan Kowalski. Przed wojną właściciel restauracji i cukierni, słynnej na całą okolicę ze swych znakomitych wyrobów. Widzę jeszcze ten parterowy domek, obrośnięty dzikim winem, wskutek czego stale panował tam półmrok i miły chłodek. I widzę jej właściciela, zażywnego starszego pana o sumiastym siwym wąsie i zawsze pogodnym obliczu. „Padam do nóg, szanownym państwu". Teraz pan Kowalski jest naczelnikiem urzędu skarbowego, nosi czapkę ze złotym paskiem i orzełkiem. Jemu padają do nóg i nie lubi bardzo rozmowy o piernikach i biszkoptach.

Albo młody Stecki, syn tego z Kałusowa. Spotkaliśmy go przypadkiem. Jedzie objąć stanowisko starosty w Lubomlu. A jaki ważny, napełniony po brzegi dostojeństwem. Nas, już sam tytuł starosty, jakby wyjęty wprost z Trylogii, dostatecznie oszałamiał i potrzyliśmy z nabożeństwem na młodzieńca, który dawniej imponował nam tylko świetnym opanowaniem konia.

Lecz najbardziej budzili we mnie podziw i zazdrość — młodzi chłopcy, prawie w moich latach, ubrani w strojne mundury, dzwoniący ostrogami, odbywający służbę w różnych pułkach kawalerii i artylerii — broń Boże, piechoty. Niektórzy z nich dosłużyli się nawet szlifów oficerskich. Jakżeż tu z takim starym wiarusem, wygą frontowym, rozpocząć rozmowę o szkole i nauce, lub wspominać dawne psoty i zabawy. I tak wszędzie, na każdym kroku. Inni ludzie, inne twarze, odmienne stosunki i obyczaje niż te, cośmy znali i zapamiętali.

Najbardziej zaś zdumiewało nas rozpolitykowanie dosłownie całego społeczeństwa. Od tych świetnych urzędników i oficerów do chłopów i prostych robotników, wszyscy byli znakomicie „zorientowani" w zawiłych tajnikach ówczesnych stosunków politycznych. Wymieniano bezbłędnie nazwy i programy licznych podówczas partii i stronnictw wchodzących w skład sejmu, nazwiska leaderów, całe fragmenty ich przemówień. Na tym tle było wiele antagonizmów, odmiennych zdań, sporów i nieporozumień. Jeśli rozmowa wkraczała na tory polityczne, a bezwarunkowo prędzej czy później musiała tam się znaleźć, temperatura wzrastała niejednokrotnie do punktu wrzenia. To już nie były dyskusje, lecz zaciekłe kłótnie ze skakaniem sobie do oczu. Linia podziału przebiegała często nielogicznie i kapryśnie. Niejednokrotnie znaczni posiadacze dóbr materialnych wyrażali się z sympatią, nawet z entuzjazmem, o stronnictwach wyraźnie lewicowych, a zdarzało się, że ludzie proletariackiego pochodzenia gloryfikowali partie o tendencjach prawicowych, nacjonalistycznych. Myślę, że to wszystko świadczyło raczej o małym wyrobieniu politycznym i o orientowaniu się według przywódców, nie zaś programów.

Wskutek płynności kryteriów wszędzie były niespodzianki i niejednokrotnie w łonie jednej rodziny reprezentowane były trzy przeciwstawne kierunki polityczne. Ponieważ byłem nieobeznany jeszcze z tymi zawiłymi problemami i własnego spojrzenia na ówczesną polską rzeczywistość nie zdążyłem sobie jeszcze wyrobić, w zetknięciu z ludźmi popełniałem śmieszne gafy. Gdy w pewnym towarzystwie wyraziłem się dość przychylnie o mężu stanu, którego działalność była właśnie omawiana w związku z aktualnym artykułem prasowym, zostałem natychmiast zgromiony i zbeształ za to, że ośmielam się zabierać głos w obronie takiej miernoty, takiego zera, które wstyd i hańbę przynosi całej Polsce. Nauczony smutnym doświadczeniem, w innym gronie osób, gdy była mowa o tym samym człowieku zachowałem pełne dezaprobaty milczenie. Nie ustrzegło mnie to jednak od pouczeń, że pora już zapoznać się z sytuacją polityczną i wiedzieć, komu Polska wszystko zawdzięcza. A więc przysłuchiwałem się, obserwowałem, czytałem i przyzwyczajałem się powoli do nowych warunków i odmiennego otoczenia.

TYMCZASEM nasze osobiste sprawy znajdowały się w głębokim impasie. Nie załatwiliśmy dotąd żadnej, a na niektórych trzeba już było postawić krzyżyk. W pierwszej kolejności na depozytach. Wyprawa cztery wiorsty za miasto do miejsca dawnego naszego zamieszkania pozostawiła na nas wszystkich przygnębiające wrażenie. Wszystko zburzone ludzką ręką, wypalone, drzewa wycięte, ziemia rozkopana. Tam, gdzie był niegdyś nasz dom, ogród i obejście, nie pozostało nawet zgliszcz i ruin. W poprzek całego terenu został wzniesiony wielki nasyp pod tor kolejowy. Nasyp ten zdążył już porosnąć darnią i drobnymi krzewami, po torze przebiegały pociągi.

I jak tu rozpoznać miejsca ulubione w dzieciństwie, gdzie tu szukać znajomych zakamarków i kątów. W głębi serca żywiłem cichą nadzieję, że uda mi się tu wywołać wspomnienia wczesnych lat dziecięcych, wspomnienia które dla każdego chyba człowieka są specjalnie drogie. I oto zamiast świeczek, choinek i zabawek w oczy mi zajrzała wojna i zniszczenie. Czułem się tak, jak by mi skradziono dzieciństwo.

Niepomiernie bardziej skomplikowane uczucia przeżywali w tym czasie moi rodzice. Szukali nie tylko utraconych wspomnień, lecz śladów swej wieloletniej pracy. Wśród wywróconego na nice krajobrazu. Jasnym się dla nas stało, że z wszelkich depozytów i ukrywanych skarbów— nici. Bo jakże szukać skrzynki ze srebrem, zakopanej pod świerkiem koło ławeczki, gdy nie ma ani ławeczki, ani świerku. Pod starą gruszą, niedaleko od krzyża miała spoczywać jakaś pełna cennej zawartości szkatułka. Nad tym miejscem właśnie przebiega pociąg towarowy o niekończącej się liczbie wagonów. Było i nie ma. Zawiewa chłodny wiatr, pada deszcz. Zmywa nawet te ostatnie ślady naszych kroków.

Jeszcze odwiedziny w kilku sąsiednich domach. Niektórych ludzi już nie zastajemy. Umarli lub na zawsze wyjechali. Ci, którzy tu pozostali, witają nas serdecznie. Padają pytania, odpowiedzi — o biegu zdarzeń, o losach ludzi. O rzeczy nie pytamy. Po co? Poza tym wstyd nam pytać o sprawy tak drobne i błahe w proporcji do ogromu zniszczeń i przemian. Ubożsi o jedno złudzenie, bogatsi o jedno przeżycie, wracamy do miasta. Furka przemokła, przemókł koń i woźnica. Jak zmokłe kury kulimy się na oślizłym siedzeniu i noga za nogą po dżdżu i błocie wlecze się konisko ciągnąc nasz świetny wehikuł.

Jednak pointa nastąpiła nieco później. Po kilku dniach otrzymaliśmy wiadomość, że w pewnym miejscu znajdują się nasze meble i chwilowi posiadacze pragnęli je jak najszybciej zwrócić. Niezwłocznie udaliśmy się tam całą rodziną. I cóż się okazało. Meblami tymi było weneckie lustro, piękny antyk, który stał ongiś w pokoju mojej babki. Ten sprzęt z natury swojej nader łamliwy i kruchy przetrwał wszystkie inne. Ba, przetrwał wiele dalszych przygód, fatalną zagładę i zniszczenia drugiej wojny światowej, bombardowania, pożary i stoi teraz w moim pokoju, jako jedyny świadek tamtych, zdawałoby się zamierzchłych czasów. Mówi Czechowicz: „Zamilknie czas potłucze czas owale luster". Okazuje się, że to lustro się ostało.

A więc bilans został już podsumowany, obrachunki z przeszłością zakończone. Trzeba było pomyśleć o przyszłości. O znalezieniu dla nas wszystkich właściwego miejsca, o tę nową polską rzeczywistość. Dla starszych oznaczało to jak najśpieszniejsze objęcie płatnej pracy, a dla mnie i moich młodszych braci — umieszczenie w szkole. Wakacje trwały stanowczo za długo. Najprędzej się urządziły ciotki. Nauczycielkom rutynowanym, władającym kilkoma językami nietrudno było o wykłady w szkołach, które wtedy cierpiały na brak sił fachowych. Ojciec po długich naradach i wahaniach zdecydował się wreszcie pojechać do Lubomla, by tam objąć w starostwie stanowisko kierownika działu. Braci matka odwiozła do Lublina. Ja miałem udać się do Chełma, gdzie brat ojca rzeczywiście był rejentem i gdzie obiecano mi pomoc i protekcję w dostaniu się mimo tak spóźnionego terminu do gimnazjum. I tak nasza rodzina, nierozłączna przez ostatnie miesiące przygód i podróży, rozjechała się w różne strony. Młodość nie dała mi tkwić długo w atmosferze rozpamiętywań i wspominków. Prędko otrząsnąłem się z tego nastroju i pełen emocji i oczekiwań jechałem do Chełma rozpocząć nowy rozdział życia.

*) Zamieszczamy dalszy fragment wspomnień z XX-lecia (vide 1 i 2 n-ry „Kameny").

WĘDRÓWKI W CZASIE

Z lubelskich wojaży Naruszewicza

ALINA ALEKSANDROWICZ

Literatura pamiętnikarska i poezja okolicznościowa wieku osiemnastego i pierwszej połowy dziewiętnastego przynosi szczególnie bogate opisy popularnych w tym czasie podróży. Odbywane często z wielkim splendorem, obliczone na dłuższy okres czasu, były niemal organiczną częścią życia ówczesnych ludzi. Podróżowano w różnych celach. Czasami była to forma rozrywki towarzyskiej, niekiedy wiązała się z przeglądem rozległych dóbr właściciela, często była to po prostu wyprawa do określonej miejscowości. Podróże takie słynęły z przepychu i bogatego zaopatrzenia. Długi sznur karoc, pełny ekwipunek przeznaczony dla wygody podróżnych, liczny zastęp sług, kucharzy, fryzjerów. Zachowały się nawet dokumenty mówiące o realiach tego rodzaju wycieczek. Bardzo ciekawy jest np. zapis rękopiśmienny przechowany w Bibliotece Ossolineum, a rejestrujący wspaniałości podróży ks. Adama Czartoryskiego. Rzadsze były wyjazdy przedsiębrane dla celów naukowych lub poznawczych. Typ tych ostatnich prezentują w postaci najbardziej klasycznej „Podróże historyczne po ziemiach polskich między rokiem 1811 a 1828" odbyte i opisane przez J. U. Niemcewicza. Inne wojaże, te uprawiane przez możnych, zostawiły również ciekawy ślad w literaturze. Towarzyszący patronowi poeci uwieczniali zwykle piórem tego rodzaju „okazje". Formułując swoje spostrzeżenia i sądy o otaczających ich miastach i ludziach przekazywali nieraz potomnym do wglądu ciekawe wspomnienia i impresje. Niekiedy notowali również uwagi dotyczące przeszłości zwiedzanych okolic, kreślili dzieje rozgrywających się zdarzeń. Dość interesująco przedstawiają się wzmianki o Lublinie i Lubelszczyźnie wypowiadane przez wybitnych nieraz pisarzy i poetów. Oto Adam Naruszewicz, poeta szczególnie ulubiony przez Stanisława Augusta Poniatowskiego, towarzyszy mu w podróży „Na Ukrainę i do innych ziem koronnych". Król zdąża do Kaniowa na historyczne widzenie się z imperatorową rosyjską Katarzyną i cesarzem austriackim Józefem II, a słynny historyk spisuje dokładnie wszystkie etapy podróży Jego Królewskiej Mości.

Podróż pomyślana była na wielką skalę. Rozpoczęła się 23 lutego 1787 roku a ukończona została dopiero 22 lipca. W „Dzienniku podróży Króla Jegomości Stanisława Augusta" wspomnienia z pobytu w Lubelskiem przedstawiają się dosyć pokaźnie. Pisarz notuje, że przed gościną w Lublinie król bawił przejazdem w znanych nam dzisiaj miejscowościach — wsi Krężnicy Jarej, będącej wówczas w posiadaniu Jastrzębskiego, Jaroszewicach — starosty Tarły, Radawcu — przynależącym do lubelskiego podczaszego Suchodolskiego, Konopnicy — pozostającej w liczbie dóbr Siekierzyńskiego i innych. Zatrzymał się również w Bełżycach, gdzie był witany „wesołymi okrzykami ludu licznie zgromadzonego" i serdeczną gościną „dziedziców miejsca tego Ichmość Państwa Kossakowskich Starostwa Sieradzkich". Tego samego dnia liczny orszak stanął w Lublinie.

Przybyliśmy do Lublina około godziny trzeciej z południa, i wjechawszy w miasto Przedmieściem Krakowskim, udaliśmy się ulicą żydowską na przedmieście nazwane Tatary do domu Starościńskiego nad rzeką Bystrzycą; ponieważ Najjaśniejszy Pan tam miał noclegować. Wszystkie ulice, którędy przejeżdżał Najjaśniejszy Pan napełnione były licznym ludu mnóstwem; a wielka część biegła aż do samego dworu za karetami. We dworze samym przy wsiadaniu spotkali Naj-

(Dokończenie na str. 11)

REWIA MODY

MARIA SZCZEPOWSKA

REWIA mody zakończyła się w „Centralu" po jedenastej wieczorem. Kierownik magazynu sam odprowadzał do drzwi swoich znajomych i ostatnich, opóźniających się z wyjściem widzów. Był ożywiony i podniecony. Rewia udała się znakomicie. Zaproszeni goście stawili się prawie wszyscy w komplecie, resztę miejsc zajęła najelegantsza publiczność, biletów wstępu oczywiście zabrakło, ale już to samo było doskonałą reklamą dla „Centralu", modelki zachowywały się bez zarzutu (najbardziej bał się o tę rudą, która tak łatwo wywoływała skandale), kilka najnowszych kreacji zrobiło prawdziwą furorę, korzystając z ogólnego podniecenia udało się parę przestarzałych modeli zaprezentować jako ostatni krzyk mody. Ludzie tak się nie orientują w tym co się nosi, a zresztą wszystko zawsze zależy od nastroju.

Kierownik magazynu mód żegnał swych klientów. Kłaniał się, ściskał ręce, podawał numer swego telefonu, zwracał uwagę na zalety niektórych modeli, prawił uprzejmości, odpowiadał na ukłony, jeszcze raz się żegnał, odprowadzał. Nie spostrzegł nawet, kiedy został sam w niewielkiej kawiarni „Centralu". Modelki dawno już wyszły, kelnerki i bileterzy zabierali się właśnie do domu. Pobrzękując kluczami przyszedł stróż nocny, ale kierownik odesłał go na czwarte piętro, bo nie był pewien, czy w dziale ubrań dziecięcych, gdzie od niedawna był cały nowy personel — wszystko w porządku.

W pustej już kawiarni głośno pracowały otwarte teraz na cały regulator wentylatory, ale pełno było jeszcze dymu od papierosów, zapachu kawy, różnych gatunków wina i perfum. Stoliki krzywo porozstawiane, niektóre niesprzątnięte, w popielniczkach sterty popiołu i niedopałków. Na sali paliły się jeszcze kinkiety, tylko światła na estradzie były wygaszone.

Po odprawieniu nocnego stróża kierownik magazynu mód został sam. Cisza, która go teraz ogarnęła, dziwnie zabrzmiała w uszach. Była to cisza wielkiego miasta, nasycona szumem tramwajów, autobusów i samochodów, sygnałami dalekich pociągów, hałasem stłumionym przez wiszące w oknach kotary, wlewającym się jednak do tego magazynu położonego w samym centrum miasta. Cisza tak różna od gwaru, który rozbrzmiewał tu przed chwilą, że naprawdę można ją było nazwać ciszą. Poczuł się osamotniony. W tej chwili pożałował, że odmówił dyrektorowi fabryki samochodów, który go prosił na kolację, albo, że z dziennikarzami nie poszedł na wódkę. Przypomniał sobie, że miał jeszcze parę innych zaproszeń i że ich nie przyjął. Teraz zastanowił się dlaczego. Ach tak, ciągle mu się zdawało, że ma tutaj jeszcze coś do załatwienia. Co to mogło być? Omal nie wybuchnął śmiechem. Chodziło o drobiazg, ale ten drobiazg przez cały czas trwania rewii podświadomie go męczył, nie dawał mu spokoju, wzniecał w nim nastrój podekscytowania. Przed samym rozpoczęciem imprezy w pracowni krawieckiej „Centralu" włożył zupełnie nowy garnitur. Właśnie wiązał muszkę, kiedy zawołano go do telefonu, nie zdążył nawet przejrzeć się w lustrze. A potem wpadł w wir spraw. Wydawał ostatnie dyspozycje, jeszcze gdzieś dzwonił, witał gości, rozmawiał z ekspedientkami, ustalał ostateczną kolejność programu i czort wie co tam jeszcze, już nie pamiętał co robił. A przez cały czas dręczyło go, jak leżą klapy jego nowej marynarki, czy rąbek chusteczki nie zanadto wystaje z kieszeni, jak jest zawiązana muszka. Na uzupełnienie ostatnich szczegółów toalety zawsze poświęcał parę minut i tych paru minut właśnie dzisiaj mu zabrakło. To go dręczyło. „I dlatego nie poszedłem z dziennikarzami na kolację", pomyślał. „To nic, oni pewnie są teraz w „Spatifie", zadzwonię, że już jestem gotów i przyjdę". Nie podszedł jednak do telefonu, tylko wszedł na estradę. Wprawdzie w kawiarni było parę luster, ale najbardziej lubił te, które stały na scenie. Pięć prostokątnych zwierciadeł ustawionych do siebie pod kątem, tak że tworzyły coś w rodzaju trochę kanciastego półkola. Przed nimi zwykle stawały modelki, zwłaszcza te, które prezentowały szczególnie efektowne toalety. Kobiety w strojach balowych wyglądały tu bardzo ładnie — jak sześciopłatkowy kwiat. Postać i pięć odbić.

Wszedł na estradę i zapalił światło. Lampy mdło zaświeciły, tak jak by ich blask nie mógł się przebić przez gęstą zasłonę dymu. „Co się stało?" — pomyślał. — „Nigdy tego nie było" — i podszedł do luster. Ale tu czekała go nowa niespodzianka. Powierzchnia wszystkich pięciu zwierciadeł była zamglona. Nie znalazł w nich tego, czego szukał — odbicia postaci starszego już, dobrze zbudowanego mężczyzny, bardzo męskiego w typie, eleganckiego, w nowym, ciemnym garniturze, z muszką pod brodą i białą chusteczką w kieszeni. Gęsta zasłona mgły leżała na powierzchni lśniących zwykle zwierciadeł. Była to mgła białoszara, kłębiasta, formująca się na ich powierzchni w zwały ruchomych, ciągle zmieniających kształty chmur czy obłoków. „Co za czary?" — pomyślał. Odstąpił dwa kroki wstecz, podciągnął rękawy marynarki i w pozie przypominającej trochę pozę męskiej sylwetki z żurnalu stanął przed lustrem. Mgła skłębiła się jeszcze mocniej, a potem zaczęła przecierać. Formował się jakiś obraz. Był niewyraźny i mglisty, jednakże kierownikowi magazynu mód zdawało się, że dostrzega w nim swoje własne odbicie. Poznał je po ramionach o zgiętych, cofniętych trochę do tyłu łokciach i po rękach bezrobotnych w tej chwili i dlatego pewnie zastygłych w nieco wymuszonym, nieco teatralnym geście. „Te ręce zawsze mnie zdradzą", pomyślał ze smutkiem. „Staram się być sobą, ale one chcą być czymś więcej niż jestem. Stąd ta poza. I nie mogę tego opanować. To one narzucają mi, kim mam być, formują całą moją postać. Nie należą do mnie. Są obce. Są jeszcze moją cząstką, ale istnieją już poza mną. Ujęte w kanony dobrego smaku działają automatycznie, tak jak według wszelkich wyobrażeń powinny działać".

Czuł się nieswojo. Nieokreślony niepokój, spotęgowany mdłym światłem, powiększył się jeszcze. Nagle światło elektryczne mrugnęło i zaraz potem zaświeciło pełnym blaskiem. Nie drgnął nawet, tylko na chwilę zamknął oczy, a kiedy je otworzył, westchnął ciężko. W pięciu ustawionych przed sobą lustrach zobaczył pięć postaci, ale żadna z nich nie była jego własnym odbiciem.

Ta pierwsza była starą, rozczochraną kobietą w zatłuszczonym kubraku, długiej niezgrabnej spódnicy i rozdeptanych pantoflach. Stała oparta o parkan, nad koszem z warzywami i wagą o pogiętych szalkach. Podchodzili do niej przechodnie, tak samo obdarci, jak ona. Targowała się z nimi i rzucając na szalę utytłaną w ziemi pietruszkę, oszukiwała ich na wadze. Dawała kiepski towar i liczyła za niego drogo. Mimo to kupowano u niej. Widocznie klientom nie chciało się daleko chodzić. Zawsze była pod ręką. Kiedy kupujący odeszli, opierała się o parkan i tępo patrzyła przed siebie. Twarz miała pomarszczoną, kościstą, zawziętą — wieczny handel, wieczny targ, wieczne użeranie się. Nieporządnie rozrzucone siwe kosmyki włosów, szara, wełniana chustka zsunięta na tył głowy. Patrząc tak przed siebie musiała go dostrzec. Uśmiechnęła się.

— Czesiek!

— Mamo...

Czułość na chwilę tylko zadrgała w jego głosie. Momentalnie oprzytomniał. „Czyżbym nie posłał jej pieniędzy?" pomyślał. „Niemożliwe. Co miesiąc posyłam. Cóż więcej mogę zrobić? Przecież nie mogę jej wziąć do siebie. Kłóciłaby się z żoną, zaśmieciłaby mieszkanie, wystraszyłaby znajomych. Nam wszystkim zatrułaby życie. Ostatecznie dwieście złotych miesięcznie, to naprawdę dużo".

Popatrzył w następne lustro i przykrość odbiła się na jego twarzy. W lustrze zobaczył małego łysego jegomościa w okularach, w staromodnym, wyszarzałym paltocie z sadzonką filodendrona w kieszeni, z sakwojażykiem, teczką, siatką i tysiącem drobnych pakuneczków w obu rękach. Gość uśmiechnął się nieśmiało i trochę głupkowato.

— Cześku, to ty?

— Pan wybaczy. Nie przypominam sobie.

Gość popatrzył na niego z osłupieniem, odwrócił się i zaczął iść w głąb ruchliwej, wielkomiejskiej ulicy. Potykał się o rozwiązane sznurowadła i szedł, potrącał przechodniów i szedł, gubił swoje pakuneczki, zbierał te rozsypane, gubił inne, znów zbierał i szedł. Omal kogoś nie wywrócił, omal nie wpadł pod tramwaj.

Jego historia była krótka i dawała się streścić w paru słowach. Proces. Rehabilitacja. Wolność. Szukał pracy, szukał mieszkania. Tak, to był jego przyjaciel z lat szkolnych. Jezus, Maria co się z niego zrobiło. Stary, łysy, śmieszny, gapiowaty, pół-idiota.

„Widzimy się po raz pierwszy w życiu". Nie mógł nic innego powiedzieć. Nie mógł przejść z nim razem przez ulicę, nie mógł zaprosić go ani do domu, ani do biura. Nie mógł. Naprawdę, nie mógł. To było ponad jego siły. Bał się jego gapiostwa, niezdecydowania, jąkania się, sadzonki filodendrona w kieszeni.

Popatrzył w następne lustro. Tutaj poznał swoje ręce. Z początku trudno było określić, na czym polegało podobieństwo, bo były to ręce kobiece, długie, śniade, delikatne o pięknych paznokciach pokrytych czerwoną emalią. Obejmowały książkę, której ta kobieta nie czytała. Tak właśnie ujmuje się jakiś przedmiot, na którym położyło się dłoń w zamyśleniu i o którym się zapomniało. Ręka wtedy nabiera kształtu podyktowanego przez mimowolne odruchy i tak, jak w tym wypadku, staje się sztuczna, anonimowa, uformowana w tak konwencjonalny gest, że z łatwością go odnajdziemy na każdym trzeciorzędnym obrazie, w kiepskim teatrze, czy w dobrym nawet żurnalu.

„Poznaję je" — pomyślał kierownik magazynu mód — „to są moje ręce, chociaż właściwie to są ręce Lidki".

Kobieta, która nie czytała książki, leżąc na tapczanie patrzyła w światło stojącej obok lampki nocnej. Rozczesane włosy spływały aż na ramiona, blada, wąska twarz miałaby wyraz smutku i zamyślenia, gdyby nie brwi olbrzymie, wyzywające, ekstrawagancko wymalowane henną w czarne, wielkie półkola.

„Teraz zacznie mówić" — pomyślał kierownik magazynu mód — „o tym, że jej nie kocham, że wszystko między nami się skończyło, że się męczymy wzajemnie, że trzeba się rozejść. A ja będę przeczył, bo to wszystko prawda. Ona nie wierzy w to, co mówi, a ja wiem, że mówi prawdę, i dlatego przeczę. Skąd się biorą takie błędne koła?"

W czwartym lustrze zobaczył studenta, który czasem urządzał w „Centralu" wystawy. Ten bardzo wysoki, bardzo chudy młody człowiek w tabaczkowych spodniach kucnął w oknie wystawowym (sklepy były już zamknięte) i nucąc si, si, si na melodię „Kaczuszki" upinał kraciastą spódnicę i czarny sweter — model wiedeński za 1.600 zł. Upinał w ten sposób, że komplet ten wyglądał tak, jakby jego właścicielka biegła, przytrzymując ręką kapelusik (model „Centralu" za 240 zł), żeby przyjrzeć się sukniom swoich przyjaciółek: jednej, luźnej w drobną kratkę, drugiej — czarnej, wełnianej princessie, do której nosiło się długie rękawiczki i toczek ze sztywnej woalki.

Stroje obywały się bez rąk, nóg i twarzy. Samo ułożenie sukien, rękawiczek, kapeluszy nadawało im ruch, wyraz i charakter.

— Ach jakie zabawne wystawy! — mówili niektórzy klienci „Centralu" — Doprawdy śmiać się chce, kiedy się na nie patrzy.

— Dlaczego u pana są zawsze takie dziwaczne wystawy? — mówili inni. — Obrzydliwość bierze. Ustawić po prostu parę solidnych manekinów, takich jak w innych sklepach, i wszystko będzie w porządku.

Kierownik magazynu mód słuchał i jednych i drugich, i jednym i drugim odpowiadał, jak mógł, najuprzejmiej, a student gwiżdżąc swoje si, si, si wpadał na coraz to nowsze pomysły.

Pewnego dnia kierownik przyniósł mu parę solidnych manekinów, głupio uśmiechniętych, z mocnymi rumieńcami.

— Dzisiaj ustawi je pan przynajmniej w jednym oknie. Student popatrzył na kierownika, na manekiny, poczerwieniał i odpowiedział.

— Nie. Nie ustawię.

— Owszem. Ustawi pan.

— Owszem — nie.

— Owszem — tak.

— Nie! — krzyknął student. Bardzo się zdenerwował i wyszedł. Więcej nie wrócił.

„Zabawne, że przypomniał mi się taki drobiazg" — pomyślał kierownik magazynu mód. — „Oczywiście, że ten smarkacz nie miał racji. „Central" jest przeznaczony nie tylko dla snobistycznej klienteli. Służymy także szerokim masom i musimy uwzględnić gust tych mas. Jeśli masy żądają manekinów musimy dać manekiny".

Uspokojony wewnętrznie popatrzył w piąte lustro. Zobaczył w nim swego stryja. Mały, przysadzisty człowiek o twarzy buldoga i szczeciniastej kwadratowej głowie siedział przy biurku i pisał. W ciasnym pokoju, po sufit zawalonym książkami, było ciemno od dymu z papierosów. Stare, brzuchate biurko, o blacie z poodłupywaną inkrustacją, miało dorobione dwie nowe nogi, a mimo to, chwiało się i trzeszczało przy każdym poruszeniu piszącego Stryj przypalał papierosa od papierosa, coraz niżej pochylał głowę nad papierem i pisał. Kiedy kierownik magazynu mód otrzymał ten list, było za późno. Wtedy stryj już leżał w otwartej trumnie na katafalku sporządzonym z biurka, z którego usunięto książki i papiery. Ubrany był w swój odświętny, granatowy garnitur, od sześciu lat służący mu wiernie w czasie wszystkich uroczystości. Grube, żółte ręce miał złożone na brzuchu, głowę obandażowaną tak, że nie widać było twarzy. Ślady krwi usunięto. Do trzeciej nad ranem pisał list. O szóstej włożył swój wyleniały płaszcz, wyszedł na ulicę, wszedł na klatkę schodową sąsiedniego domu i skoczył z czwartego piętra. Roztrzaskał czaszkę i połamał kręgosłup. Umarł, nim przyjechało pogotowie.

Kierownik magazynu mód otrzymał list po śmierci stryja. Stryj pisał, że przeniesiono go na emeryturę. Od piętnastu lat pracował w muzeum etnograficznym, które sam założył. Nie ma nikogo z bliskich (unikał słowa: rodzina), nie wytrzyma samotności w pustym pokoju, zawsze przerażała go emerytura. W imię czego niby ma pokonywać ten przeraźliwy strach. Strach przed śmiercią jest mniejszy. Więc żegna się z synowcem i dziękuje mu za starania w jego sprawie. Nie dały one wprawdzie pożądanego rezultatu, ale może opóźniły decyzję, której oczekiwał od dawna.

Kierownik magazynu mód poczuł, że robi mu się duszno. Cofnął się parę kroków wstecz, odnalazł kontakt i zgasił światło. Na estradzie zapanował półmrok. Postacie w lustrach znikły.

Od roku, ile razy spotkał stryja, ten prosił go, żeby porozmawiał o jego sprawie w ministerstwie. Kierownik magazynu mód zawsze mu to obiecywał

(Dokończenie na str. 9)

Co mówią o reformie szkolnictwa?

SZKOŁA BLIŻSZA ŻYCIA

Dla postępowych naukowców: psychologów, socjologów i pedagogów (teoretyków i praktyków) — uchwały VII Plenum dotyczące szkolnictwa nie są zaskoczeniem. Bardzo szybki rozwój ekonomiczny kraju, postęp w zakresie techniki — postawiły obecnemu systemowi szkolnemu zadania, którym nie będzie on w stanie sprostać. Konkretnym dowodem tego jest m.in. coraz częstsze, spontaniczne niejako, wiązanie szkół o charakterze ogólnokształcącym z zakładami pracy, organizowanie „masowych zespołów wiedzy praktycznej" przy liceach ogólnokształcących, korespondencyjnych i punktach filialnych, przedłużanie i intensyfikacja praktyki w szkołach zawodowych. Zagadnienie wychowania wysoko kwalifikowanych kadr urasta do problemu o charakterze ogólnokrajowym. „Bez nich — jak powiedział tow. Gomułka — najlepsze urządzenia produkcyjne nie przyniosą oczekiwanych rezultatów". Podjęcie uchwały o reformie szkolnictwa podstawowego i średniego jest logicznym wyciągnięciem wniosków z realnych potrzeb wnikliwie podpatrzonego życia.

Przyszła ośmioletnia szkoła podstawowa ma podnieść poziom wykształcenia i kultury najszerszych mas społeczeństwa, stworzyć lepszą podstawę do kształcenia w szkołach średnich, ułatwić zdobywanie kwalifikacji bezpośrednio w produkcji, dostosować nauczanie do rozwoju umysłowego uczniów i wreszcie zmniejszyć o rok lukę między ukończeniem szkoły podstawowej a dozwolonym przez prawo wiekiem zatrudnienia.

Ośmioletnia szkoła podstawowa w ośrodkach wiejskich, gdy przyjmie pod swój dach zwielokrotnioną liczbę dwuletnich szkół przysposobienia rolniczego, co ze względów lokalowych będzie wskazane i konieczne, stanie się rzeczywistą kuźnią kadr, które wydatnie przyśpieszą proces przekształcania gospodarczego wsi.

Zmiana stosunku globalnej liczby godzin na poszczególne grupy przedmiotów z wyraźnym uprzywilejowaniem przedmiotów matematyczno-przyrodniczych (46%), unowocześnienie, uwspółcześnienie materiału przedmiotów humanistycznych, podniesienie pracy dydaktyczno — wychowawczej, przy uwzględnieniu szeroko pojętej politechnizacji nauczania sprawi, że ze szkoły średniej ogólnokształcącej przestaną wychodzić ludzie bez przygotowania do zawodu, w których szkoła nie potrafiła wytworzyć praktycznie użytecznej aktywnej postawy wobec życia.

Swego rodzaju paradoks występował w szkolnictwie zawodowym. I stąd też wychodzili nierzadko absolwenci obarczeni nadmiernym balastem wiedzy „abstrakcyjnej", nieprzydatni do konkretnej pracy w zaplanowanej z góry przez szkołę dziedzinie. Reforma szkolnictwa zawodowego przez zwiększenie czasu na nauczanie praktyczne zawodu, ściślejsze powiązanie go z zakładami pracy, zwiększenie liczby szkół zawodowych przyzakładowych i międzyzakładowych — niewątpliwie przyczyni się do likwidacji tych anomalii.

VII Plenum KC PZPR postawiło przed władzami szkolnymi ogromnie poważne zadanie: w ciągu kilku lat dokonać takiego przeobrażenia szkolnictwa, jakiego nie dokonywano dotychczas w ciągu długich dziesiątków lat. Zrewidować gruntownie programy nauczania i wychowania, zmobilizować ok. 100.000 nowych nauczycieli, rozszerzyć powierzchnię szkół o ok. 15.000 nowych izb lekcyjnych; dalej — wyposażyć szkoły w pomoce naukowe, w narzędzia, maszyny i inne urządzenia dla realizacji poglądowego nauczania i jego politechnizacji. Zadanie na miarę epoki. W sukurs władzom szkolnym przyjść muszą rady narodowe, organizacje związkowe i społeczne, komitety rodzicielskie, organizacje partyjne, całe społeczeństwo

Pomyślny przebieg akcji budowy 1000 szkół na 1000-lecie może być dobrym prognostykiem, że zwycięstwo odniesione będzie na pewno.

Stanisław Brudt
Sędzia Sądu Wojewódzkiego w Lublinie

Trzeba starać się o kontakty ze współczesnością

Przed wojną chodziłem do szkoły podstawowej. Zdążyłem skończyć piątą klasę i wybuchła wojna. Uzupełniałem więc swoje wiadomości na tajnych kompletach, które odbywały się w wiejskiej chacie. Zajęcia z kilku przedmiotów prowadziła wówczas nauczycielka z Kłodzka. Dużą bolączką w czasie takiej nauki był brak podręczników i pomocy naukowych. Lekcja wyglądała więc tak, że wspólnie czytaliśmy pewne rozdziały z podręcznika do historii czy geografii, a później dyskutowaliśmy na ten temat. Muszę jednak przyznać, że mimo tych trudnych warunków zarówno nauczycielka, jak i my, wkładaliśmy wiele wysiłku i zapału do pracy. Dlatego też można było wtedy skorzystać z lekcji kto wie czy nie lepiej niż w normalnych warunkach.

Z okresu, kiedy uczęszczałem do szkoły podstawowej przed rokiem 1939 — zapamiętałem na długo lekcje prac ręcznych. W czasie nauki tego przedmiotu korzystaliśmy z dobrze zaopatrzonej sali — narzędziowni. Tu stale kręciła się młodzież, nie brakowało jej nawet po lekcjach. Sporo czasu poświęcaliśmy na konstruowanie samolotów, okrętów, prostych narzędzi pracy, a wśród nas stale krążył nauczyciel, który razem z nami, ramię w ramię, tak jak uczniowie, wykonywał daną pracę. Z lekcji tych wyniosłem jak najprzyjemniejsze wspomnienia i bardzo się cieszę, że zajęcia praktyczne wracają dziś do szkół.

Gdy patrzę na postawę dzisiejszej młodzieży i jej stosunek do nauki, wydaje mi się, że w dużej części młodzież nasza jest nijaka, obojętna na wiele rzeczy. Z punktu widzenia nauczyciela-wychowawcy oraz kierownika szkoły — wydaje mi się, że jest konieczne przedłużenie nauki w szkole podstawowej do 9 lat. Liczę się oczywiście z tym, że nie ma jeszcze do tych reform odpowiednich warunków, zaplecza. Przede wszystkim odczuwałoby się poważne braki kadrowe, nie mówiąc już o pomieszczeniach dla nowych klas. Dlaczego jednak wydaje mi się, że warto pomyśleć o przedłużeniu nauki w szkole podstawowej nawet o 2 lata? Otóż jest wielu uczniów, którzy poprzestają na ukończeniu 7 klas. Załóżmy, że dani uczniowie przechodzą regularnie z klasy do klasy, a zatem po ukończeniu szkoły mają po 14 lat. Co robi taki uczeń? Po prostu zawisa w próżni. Do pracy nie może przystąpić, bo jest nieletni. Przerwa, jaka się automatycznie wytwarza, zaczyna się mścić na młodzieży, która szybko zapomina wiadomości wyniesionych ze szkoły, a co gorsze — pozbawiona jest jej wpływów wychowawczych. Jeżeli do tego dodaje się jeszcze fakt, że często rodzice nie mogą poświęcić dzieciom wystarczającej ilości czasu — trudno się dziwić, że młodzież łatwo się demoralizuje i zaczyna hołdować lenistwu. Dlatego też, aby zapobiec temu niepokojącemu zjawisku, należy koniecznie przedłużyć naukę w szkole podstawowej. To jest sprawa najpilniejsza i bodajże najważniejsza.

Druga sprawa, która leży mi na sercu — to zniesienie systemu lekcyjnego — na rzecz nauki w pracowniach i gabinetach, na rzecz nauki powiązanej z życiem. Życie i praca w szkole to przecież jedna z form życia społecznego, trzeba nadążać za rzeczywistością i dotrzymywać jej kroku. **Wychowujemy dzieci dla kraju na ludzi, którzy powinni odznaczać się wysoką kulturą nie tylko humanistyczną, ale i techniczną. Nauczyciel musi stale eksperymentować, wprowadzać innowacje do swych zajęć, starając się w miarę możliwości o jak najczęstsze kontakty ze współczesnością.** Dla zilustrowania tej myśli posłużę się przykładem. Są takie partie materiału w programach nauczania, które nie mieszczą się w ramach 45 minut. Np. na lekcji geometrii nauczyciel zaplanuje wycieczkę w celu zebrania materiału. Młodzież wraz z pedagogiem udaje się więc do upatrzonego obiektu, tu dokonuje się obliczeń i pomiarów, a także szkiców i przy tej okazji dzieci zapoznają się z przydatnością obliczeń pól trójkąta czy trapezu. Po takiej wycieczce należałoby wrócić do klasy, uporządkować materiał i zapisać go w formie wniosków. Wszystko to można zrobić w ciągu jednego dnia, tylko, niestety, nie jednej godziny. Albo inny przykład. Na lekcjach fizyki nauczyciel może dokładnie omówić pracę prądnicy, nawet pokazać ją uczniom. I to wszystko. Na wycieczkę do elektrowni z pewnością nie będzie czasu. Nic też dziwnego, że uczeń nie może później poznać prądnicy, kiedy jakiś przypadek pozwoli mu zobaczyć ją w naturalnej wielkości i postaci, w czasie pracy. Jedno nie ulega wątpliwości: zniesienie systemu lekcyjnego pozwoliłoby na lepsze i bardziej właściwe opracowywanie wielu zagadnień, na zbliżenie młodzieży do aktualnych problemów, do życia.

I jeszcze jedna sprawa. Hasło „Tysiąc szkół na Tysiąclecie" jest istotnie bardzo piękne. Ale jak te szkoły my, nauczyciele, chcielibyśmy widzieć? Niech to nie będą giganty za 6 czy 8 milionów złotych, mogą być znacznie mniejsze, byle znalazły się w nich dobrze wyposażone w pomoce naukowe gabinety i pracownie. Wtedy dopiero mielibyśmy właściwe warunki do kształcenia politechnicznego. Wymagałoby to, rzecz jasna, także i nowych metod pracy. **Zajęcia musiałby wówczas prowadzić pedagog, który sam starałby się o systematyczne dokształcanie się w zakresie najnowszych zdobyczy techniki, by móc swą wiedzę przekazywać natychmiast uczniom. Nowe treści muszą znaleźć nowe formy i nowych ludzi, a właśnie temu wszystkiemu otwiera drogę reforma szkolnictwa w Polsce.**

Stanisław Skocki
Kierownik Szkoły Podst. Nr 3 w Lublinie

TE POSTULATY SĄ REALNE

Zagadnienie reformy szkolnej, zajęć pozalekcyjnych i prac społeczno-użytecznych młodzieży — to tematy, którymi w chwili obecnej żyje każda szkoła. Jeśli zaś chodzi konkretnie o Liceum im. St. Staszica w Lublinie — można stwierdzić, że wykazało ono dla tych spraw szczególnie dużo zrozumienia i serca, czego dowodem mogą być chociażby dwie konferencje odbyte w lutym. Konferencje te dały sposobność wypowiedzenia się w sprawie reformy zarówno nauczycielom, jak i rodzicom. Nie ulega też wątpliwości, że wszystkim dyskusjom towarzyszyła jednomyślna, w pełni aprobująca projekt reformy postawa. Nie chodzi mi jednakże o to, by podsumować wyniki tych narad, pragnąłbym zabrać głos we własnym imieniu, by podzielić się kilkoma spostrzeżeniami i uwagami.

Rzecz jasna, trzeba zacząć od propozycji przedłużenia nauki w szkole podstawowej o rok. Fakt ten należy powitać z radością, gdyż realizacja projektu da nam młodzież dojrzałą, a to będzie miało jeszcze większy wpływ na wybór właściwego typu szkoły przez absolwentów. Później też łatwiej im będzie o dojrzalsze decyzje w sprawie studiów. I to jest bodaj najbardziej istotna sprawa. W tej chwili duża ilość młodzieży nie jest przygotowana do zawodu i zbyt często pomaga jej w wyborze ślepy przypadek. Dzięki przedłużeniu nauki będziemy mieli w szkole młodzież dojrzalszą nie tylko do nauki, ale i do pracy w ZMS czy w ZHP (pracę w ZMS będzie można już zacząć od klasy VIII, a nie od IX jak dotychczas).

Już nie tyle jako dyrektor szkoły, ale jako przewodniczący Komisji do Walki z Przestępczością dla Nieletnich, mam szczególny powód do zadowolenia z tego, że dodatkowy rok pobytu w szkole podstawowej zmniejszy lukę pomiędzy szkołą a pracą, zmniejszy liczbę młodzieży, która do szkoły już nie chodzi, bo ją skończyła, a do pracy nie może być jeszcze przyjęta ze względu na młody wiek. Wydaje się też, że dzięki temu zmniejszy się także odsetek studentów odpadających już na pierwszym roku.

GŁOS UCZENNICY

Jestem uczennicą VII klasy. Uczę się dosyć dobrze. W tym roku kończę szkołę podstawową i w czerwcu czekają mnie egzaminy wstępne do innej szkoły.

Pragnęłabym koniecznie dostać się do Liceum Pedagogicznego. Nie mam jednak jeszcze tych wszystkich wiadomości, które chciałabym mieć, mimo że nauczyciele dają z siebie wszystko, abyśmy jak najwięcej wiedzieli odchodząc ze szkoły podstawowej. Omawiając z nami każdą najmniejszą rzecz bardzo szczegółowo, powtarzają przerobiony materiał po kilka razy.

Dla mnie VIII klasa szkoły podstawowej byłaby utrwaleniem i ugruntowaniem tych wiadomości, które już zdobyłam.

Na pewno program klasy VIII szkoły podstawowej byłby ciekawy, wzbogaciłby moje wiadomości i lepiej byłabym przygotowana do egzaminu. W VIII klasie poznałabym też lepiej przedmioty, których się teraz uczę, wiedziałabym więcej o literaturze, geografii, matematyce.

Najbardziej interesuje mnie język polski, który jest bardzo ciekawy, chociaż trudny. Często pisząc wypracowanie lub dyktando trzeba zastanawiać się, czy tak trzeba napisać jakiś wyraz, czy inaczej. W VIII klasie szkoły podstawowej zdobyłabym więcej wiadomości o języku polskim, o literaturze i gramatyce. Wiedziałabym więcej o ulubionych pisarzach i poetach. Gdybym skończyła VIII klasę szkoły podstawowej, byłabym także o rok starsza. Rozumiałabym lepiej wykładane już w średniej szkole zagadnienia oraz to, co się dzieje w kraju i na świecie.

Joanna Kopczyńska
uczennica kl. VII Szkoły Podstawowej nr 3 w Lublinie

Szkoła w nowo przyłączonej dzielnicy na Sławinku

Następny ważny problem to zbliżenie szkoły do życia. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że muszą być zmienione treści wychowania i nauczania, że znacznie wyższą rangę muszą uzyskać prace społeczno-użyteczne i zajęcia produkcyjne. Trzeba też koniecznie pomyśleć o zróżnicowaniu typów liceów w ostatnich dwu latach nauki. W zakresie treści programowych należy dążyć do uwspółcześnienia podawanych wiadomości — kosztem materiału historycznego z danej dziedziny.

Czy są to postulaty realne? Z pewnością tak. Dowodem tego może być właśnie Liceum im. St. Staszica, które w wielu przypadkach realizuje już te wytyczne od dawna. I tak np. Liceum to było jedną z pierwszych szkół na terenie województwa lubelskiego, które już 1 września 1959 r. wprowadziła do programu zajęcia praktyczne (ślusarka, spawalnictwo, mechaniczna obróbka metali, elektrotechnika, kreślenia techniczne). W rok później, tj. od 1 września 1960 roku uczniowie mieli możność zapoznania się z Międzyszkolnymi Warsztatami Szkół Zawodowych, gdzie chodzili przez miesiąc do różnych działów, by już w październiku wybrać sobie jeden z nich i przystąpić do konkretnej pracy.

Także i prace społeczno-użyteczne były prowadzone w sposób planowy już w ubiegłym roku, w bieżącym zaś zyskały jeszcze większą rangę wychowawczą. Również jako jedna z pierwszych szkół Liceum nasze wprowadziło w ubiegłym roku religioznawstwo i elementy etyki niezależnej. W lutym br., jak wiadomo, przedmiot ten uzyskał sankcję prawną jako propedeutyka filozofii.

Rozbudowaliśmy bardzo poważnie w ubiegłym roku pracownie: fizyczną, chemiczną i biologiczną, co pozwoliło szkole na pełne realizowanie programu „równym frontem", oczywiście tam, gdzie było to wskazane metodycznie. Był to niewątpliwie bardzo poważny element wykształcenia politechnicznego. Szkoła zakupiła też aparat filmowy (szerokotaśmowy i wąskotaśmowy) dla celów dydaktyczno-wychowawczych. Już dzisiaj szkoli się uczniów, by sami obsługiwali aparat i wykorzystywali go zarówno na lekcjach — dla pogłębienia wiedzy, jak też i później — dla rozrywki.

Chcąc jak najbardziej zbliżyć młodzież do życia, a szczególnie do techniki, szkoła nawiązała bliższy kontakt z zakładem opiekuńczym, którym jest DOKP Lublin. W efekcie tej współpracy przewiduje się systematyczne informowanie młodzieży przez fachowców o postępie technicznym w kolejnictwie, jak również udostępnienie młodzieży urządzeń i warsztatów kolejowych w ramach specjalnych wycieczek oraz dla przeprowadzania normalnych zajęć produkcyjnych.

Przytoczone fakty świadczą wymownie o tym, że dla Liceum im. St. Staszica i z pewnością dla wielu innych szkół uchwała w sprawie reformy szkolnictwa nie była zaskoczeniem, gdyż w dużej mierze usankcjonowała to, co było już wprowadzone w życie w formie eksperymentu. Dlatego też projekt reformy musiał być przyjęty z pełnym zrozumieniem i radością.

mgr Tadeusz Lewacki

Dyrektor Liceum Ogólnokszt. im. St. Staszica w Lublinie

NA „MAKBETA"!

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Od dłuższego już czasu premiery naszego teatru, Teatru Osterwy, „wychodzą" trójkami. Czy to dobre, czy złe? Na pewno dobre, gdyż zgodne jest z planem zaakceptowanym przez życie. Zdarza się nieraz, że jakaś sztuka znika z afisza lubelskiego po kilku pierwszych przedstawieniach. Wśród szerokich dziś kręgów teatro*filów* powstaje popłoch: Co to? Klapa? „Księżyc" już nie zaświeci nieszczęśliwym w Lublinie? Ale teatromani są spokojni: i nie klapa, i będzie jeszcze świecił — chociaż właściwie Lublin jest szczęśliwy, bo otrzyma w nowej pięciolatce swój upragniony nowoczesny gmach teatralny. Po prostu „Księżyc" wybrał się w teren, wykonuje plan. Świeci w Biłgoraju lub Chełmie, Hrubieszowie albo Tomaszowie, Parczewie bądź Wożuczynie, może nawet zapuścił się do warszawskiego Gostynina. Tymczasem Lublin ogląda „Dom Bernardy Alba" przy Kunickiego i „Sułkowskiego" przy Narutowicza. Potem w „trójce' następuje wymiana: „Alba" zadomawia się w siedzibie, „Księżyc'" czaruje w Domu Kolejarza, „Sułkowski" podnosi ducha w Zamościu. Tak się odbywa normalne krążenie kultury teatralnej. Zakłóca je tylko niekiedy choroba aktora lub opieszałe organizowanie widowni daleko w powiecie.

Bywa wszelako jeszcze inaczej. Nagle w tygodniowym afiszu-kalendarzu zamiast pożądanego tytułu pojawia się przy środzie niedwuznaczne Teatr nieczynny (pochwalmy komunikatywność naszej terminologii: podobno we Francji ktoś chciał kiedyś obejrzeć „sztukę" z żelaznego repertuaru — *Relâche!* *). Nie wszyscy wówczas wiedzą, że zespół odrobił ową środę w wolnym dniu — w poniedziałek. Dlaczego? Bo tym razem chce zamienić się z producenta sztuki w jej konsumenta. I to także jest dobre, to się aktorom należy, albowiem żadna placówka artystyczna nie powinna dusić się wyłącznie we własnym sosie.

Gloria, gloria, gloria in excelsis Spatifowi vel ZASP-owi! Nie wiem, jakich zaklęć użyła nieugięta Eleonora Frenkel-Ossowska, ale dostaliśmy tyle biletów na „Makbeta", że nie skrzywdzono losowaniem żadnego członka koła. Oto więc „Romeo" i „Julia", nasze dwa rącze Sany, mkną w kierunku Warszawy, wioząc nas na przedstawienie Teatru Old Vic. Jadą też nie-spatifowcy korzystając z wolnego dnia, jadą członkowie rodzin. Obejrzą sobie coś niecoś w stolicy, może trafią na inny spektakl, a bodaj choćby kupią pomarańczy, ten tak rzadko w Lublinie oglądany owoc!

*

Na widowni Teatru Narodowego, acz przedstawienie jest z importu, tym razem nie tylko „Ciż sami", ale i artyści terenowi, zapewne z kilku miast Polski, bo to popołudniówka ZASP-u. Dobór widzów harmonizuje niejako z założeniami Old Vicu, którego postępową tradycją stała się służba społeczna.

Szczegółów o działalności Teatru Old Vic można było się dowiedzieć z PAGART-owskiego programu oraz z prelekcji, którą Patrick Ide, kierownik propagandy teatru, wygłosił w brytyjskim ośrodku kulturalnym w Warszawie. Oto w telegraficznym skrócie dzieje tej sławnej sceny. Protoplastą jej był teatr Royal Coburg, który otworzył swe podwoje w roku 1818. W 1833 ozdobiono go mianem Royal Victoria Theatre dla uczczenia następczyni tronu. Atoli niewdzięczna placówka sprzeniewierza się wkrótce dostojnej nazwie staczając się do poziomu podrzędnej knajpy, miejsca spotkań najgorszych nicponiów okolicy mostu Waterloo. Z tych to odległych czasów pochodzi popularne przezwisko „Old Vic" („stara Wikta"), dziś uświęcone tradycją i fonetycznie całkiem przyjemne.

W r. 1871 władze zamykają kłopotliwy lokal, lecz po paru latach, za sprawą działaczki społecznej Emmy Cons, powstaje w opuszczonym budynku — Royal Victoria Hall and Coffee Tavern, coś w rodzaju ludowego domu kultury. Utworzenie tej placówki oświatowej było istnym dobrodziejstwem dla uboższej ludności Londynu, która gromadziła się tutaj tłumnie na imprezach artystycznych i odczytach. Więcej: Old Vic staje się placówką-matką innych sławnych instytucji i zespołów. Tu bierze początek Uniwersytet Powszechny Morley College, stąd wyszedł znakomity Sadler's Wells Ballet.

Najbardziej chyba frapującym momentem w dziejach Old Vicu jest wystawienie w r. 1914, za dyrekcji siostrzenicy Miss Cons, Liliany Baylis, trzydziestu sześciu sztuk Szekspira zebranych w tzw. First Folio, z 1623 r. Odtąd teatr zyskuje coraz większy rozgłos w całym świecie— swą solidną pracą nad klasycznym dramatem angielskim i obcym. Naczelne miejsce w jego repertuarze należy nadal do Szekspira. Po odbudowie gmachu, zbombardowanego w czasie wojny, kierownictwo tej sceny postanowiło wystawić ponownie w pięcioleciu 1953—1958 wszystkie sztuki z Pierwszego Pełnego Wydania dzieł Szekspirowych. Na deskach Old Vicu występowali najznakomitsi aktorzy Anglii, tacy jak Sir John Gielgud, Edith Evans, Laurence Olivier...

Zespoły teatru odwiedziły Stany Zjednoczone, Kanadę, Egipt, Liban, w Europie — Francję, Włochy, Portugalię, Niemcy, Belgię, Holandię, Jugosławię, Szwecję, Norwegię itd. Ostatnio, przed przyjazdem do Polski — Związek Radziecki. Ważniejsza jednak od sukcesów zagranicznych jest służba społeczna, jaką pełni Old Vic we własnym kraju. Warto też zaznaczyć, że scena ta jest niemal całkowicie samowystarczalna finansowo: wsparcia organizacji dobroczynnych i państwowa subwencja pokrywają zaledwie 30% wydatków. Czyż trzeba lepszego dowodu na popularność w masach? Takie powszechne uznanie zdobyły oldvicowcom spektakle klarowne, pełne napięcia emocjonalnego, wolne od zakłamania i snobizmu.

*

Wielką radością jest słuchanie Szekspira w oryginale. Nie sądzę, by nasz „Romeo" przywiózł na „Makbeta" samych anglistów, a przecie wszyscy koledzy zachwycali się melodią mowy scenicznej Old Vicu. Chyba szczerze, bo lepiej nie zrozumieć czegoś z tekstu angielskiego, niż polskiego. Rzecz prosta — nie mamy kongenialnych przekładów sztuk szekspirowskich. Trudno dać sobie radę z jego skondensowaną myślą, z gongoryzmami, wymagającymi szczególnej pomysłowości i taktu. Stąd nielojalne praktyki reżyserów, którzy traktują dzieła Szekspira, jak gdyby to była res nullius, wykreślając wszystko, co im „zawadza" w potoczystości dialogów. Dobre przekłady nowoczesne sztuk szekspirowskich są tak dalece wyjątkiem, że w większości realizacyj powracamy do starego Paszkowskiego, mimo kwiatków w rodzaju słynnego „psy ujadają, gdy sztykutając koło nich przechodzę".

*

Jednak terror *„awangardzistów"* nie jest mitem. Andersenowska bajka doczekała się inwersji: niektórzy recenzenci warszawscy, przyznając, że król, choć nie awangardowy... ma szaty, uczynili to z duszą na ramieniu. A strach był proporcjonalny do odległości dzielącej danego krytyka od rzekomej awangardy.

Trzeba przyznać, że słowo tradycja jest dwuznaczne. Można nim niekiedy poklepywać po ramieniu. Ale któż niezacietrzewiony oprze się naprawdę logice sformułowania: *„The more truly poetical a man's work is, the less it depends for its interpretation upon a knowledge of anything outside itself..."* *).

Tę trafną myśl mógłby Old Vic Theatre przyjąć za motto swoich inscenizacji.

Arcysłuszna mi się wydaje „nowa teoria" angielska, że sztuki Szekspira powinny być grane tak, jak są napisane. To znaczy: szczerze, ostro, żywiołowo, barwnie, „trójwymiarowo". Bez kastrowania, przefajnowywania, taniego „pogłębiania" intelektualnego, bez wtłaczania w mizerne koncepcyjki inscenizacyjne.

Tak właśnie, wyrzekając się ambicji pseudotwórczych, gra Szekspira Old Vic.

*

Oldvicowski „Makbet" jest autentyczny i na wskroś poetycki. Ma w sobie coś z poezji naturalizmu balladowego. I jest zaskakująco l u d z k i. Warto zwrócić uwagę na fakt, że mimo ogromu zbrodni występnej pary małżonków, to oni raczej wzbudzają w widzu litość, niż ich ofiary. Tak wielka jest potęga cierpienia, na jakie skazała ich namiętność. Wobec tego obojętną staje się rzeczą, czy wiedźmy są metaforą poetycką, czy też pomysłem literackim mającym schlebiać gustom czarnoksięskim króla Jakóba I, któremu Szekspir chciał się rzekomo przypodobać. Pozostaje ważny fakt, że bodziec do zbrodni został dostarczony z zewnątrz, że człowiek znalazł się w p r z y m u s o w e j sytuacji, a przymus, czy go nazywamy losem, czy przeznaczeniem, czy niewłaściwymi warunkami społecznymi, jest o k o l i c z n o ś c i ą ł a g o d z ą c ą dla przestępcy. Ukazanie tego aspektu humanizmu Szekspirowego jest dużą zasługą Old Vicu. Wyrazista gra aktorów, odsłaniająca cierpienie bohaterów w pełnym jego wymiarze, ma zarazem moralną doniosłość dowodu psychologicznej „nieopłacalności" zbrodni.

Przedstawienie Teatru Old Vic jest najzupełniej oczyszczone z patosu, który charakteryzował scenę u schyłku XIX wieku. Wystarczy przytoczyć jako przykład odczytywanie listu przez Lady Makbet — niezrównaną B a r b a r ę J e f f o r d. Co za mistrzowskie środki interpretacji! Z jaką jasnością ukazano tu narastanie uczuć, które poprowadzą do zbrodni. Żadnych efektów, żadnej pozy, ani też obiektywnego przekazywania treści. Wrażenie osiąga się niezwykle subtelnymi modulacjami tonu, jak gdyby synkopami wytworzonymi przez drobne pauzy. W ogóle sposób mówienia

(Dokończenie na str. 8)

*) Przerwa.

*) „Im bardziej czyjeś dzieło jest poetyckie, tym mniej uzależniona jest jego interpretacja od znajomości rzeczy spoza niego samego"... (sir Henry Newbolt: „A New Study of English Poetry").

W OCZACH RODZICÓW

Nasza dzielnica jest dzielnicą nowych domów i nowych mieszkań, a mieszkania takie — jak wiadomo — dostają się przede wszystkim rodzinom „dzietnym". W rezultacie w szkole nr 6, do której uczęszcza nasz ośmioletni Kuba, są cztery oddziały klasy drugiej i pięć oddziałów klasy pierwszej! A w każdym oddziale jest około 40 uczniów. Szkoła jest nowa, nowiutka, bardzo czysta, dobrze wyposażona i energicznie kierowana przez młodego absolwenta UMCS. Ale nauka idzie tu na trzy zmiany. Kuba chodzi do szkoły najczęściej na 12,30, wraca przed 16; jego oddział nie ma swojej własnej izby szkolnej, dzieciaki wędrują z klasy do klasy, w zależności od tego, gdzie jest właśnie pusto. W rezultacie takich peregrynacji godzina lekcyjna skraca się nieraz o dziesięć minut albo i kwadrans. Co za „urozmaicenie" dla malców, a jakie utrudnienie dla „pani". Ile utraconego czasu. A przecież przy wieloosobowych oddziałach nie ma go za wiele. Osiągane w tych warunkach wyniki pedagogiczne i naukowe graniczą dla mnie z jakimś cudem. Zwłaszcza, że przecież obok dzieci zdolnych i przeciętnych, są także tępe, a nawet takie, które na dobrą sprawę powinnyby się znaleźć w szkole specjalnej. Albo jak sobie dać radę z takim ananasem, który już c z w a r t y rok siedzi w drugiej klasie?

To są trudności aktualne na znanym mi, wąskim odcinku jednej i to bardzo młodej klasy. W skali całej szkoły jest ich oczywiście znacznie więcej, a dodanie klasy ósmej jeszcze ich przymnoży. Za parę lat obecnych pięć oddziałów pierwszej to będzie tyleż oddziałów ósmej! a więc o tyle więcej izb, o tyle więcej godzin lekcyjnych, nie mówiąc już o konieczności wydatnego podwyższenia kwalifikacji kadry nauczycielskiej. To prawda, że w ciągu tych paru lat dojdzie niemało szkół, ale trzeba też pamiętać, że jesteśmy dopiero u progu wyżu demograficznego.

A więc z jednej strony reforma to liczne, oczywiste korzyści: dokonany zostanie jeszcze jeden krok ku niwelacji różnic między grupami społecznymi; podwyższy się ogólny poziom umysłowy społeczeństwa, programy się nieco rozładują; młodzież będzie mniej przeciążona; o rok później — a więc o rok dojrzalej — decydować będzie o wyborze zawodu; o tenże sam rok przedłużą się lata szkolne, to znaczy młodość naszych dzieci.

A z drugiej strony: reforma szkolna to sprawa wielkiego wysiłku. Wysiłku organizacyjnego szkoły i wysiłku finansowego rodziców. Wysiłku całego społeczeństwa.

Anna Tatarkiewicz

Widzi mi się

ŁAWKA I KATEDRA (I)

To nie antynomia. Nie „czerwone i czarne". Nie walka, ale współdziałanie. Choć w pewnych wypadkach bywa i walka: „Syzyfowe prace".

Piszący te słowa, jak każdy zresztą, początkowo zajmował to pierwsze miejsce — przez osiem lat. A później, jak już pewien tylko odsetek, — z racji swego zawodu — to drugie. I to w zupełnie odmiennych, krańcowo różnych warunkach: uczeń szkoły zaborczej, w której w ogóle nie było takiego przedmiotu jak język polski, i nauczyciel właśnie tego języka, z którego nie miał stopnia na świadectwie dojrzałości, — w średniej szkole polskiej w niepodległej ojczyźnie. Ale żeby to nie wydawało się takie dziwne, dodać należy, że ten uczeń gimnazjum rosyjskiego (po niefortunnej próbie trzymiesięcznego pobytu w Szkole Lubelskiej, przerwanej tęsknotą dziesięcioletniego chłopca za rodzicami i niepokojem ich o jedynaka w okresie porewolucyjnym, bo właśnie w tym czasie w Lublinie dokonano zamachu na jakiegoś dygnitarza) miał w domu kolejnych nauczycieli prywatnych, którzy uczyli go gramatyki, stylistyki i historii literatury polskiej.

Mimo wielu przykrości, jakie wiązały się z pobytem w szkole zaborczej, zachowałem o tych latach wspomnienia, do których dzisiaj wracam nieraz z rozrzewnieniem. I mimo braków, jakie miało to gimnazjum, obiektywnie przyznać muszę, że z pewnych przedmiotów — z matematyki, języków obcych i łaciny — dało mi ono niezłe podstawy. Zastanawiające, że nie z rosyjskiego. Wprawdzie na maturze mam z niego ocenę bardzo dobrą, ale sposób, w jaki go uczył najpierw Rosjanin, choleryk i furiat, przed którym drżała cała klasa, a potem Polak renegat, metoda zadawania do wkucia na pamięć olbrzymich porcji Puszkina i Lermontowa czy fragmentów prozy Gogola — bez analizy tych utworów i zwrócenia uwagi na ich piękno — mogła do tego przedmiotu tylko zniechęcić, niezależnie nawet od zrozumiałych oporów wewnętrznych natury patriotycznej, które pamięciowemu ich opanowaniu towarzyszyły. I uroda poezji rosyjskiej, której tłumaczeniu później poświęciłem tyle czasu, odsłoniła mi się dopiero w latach uniwersyteckich, kiedy z własnej woli rozczytywałem się w Briusowie, a potem w Błoku i Jesieninie i próbowałem zrazu nieudolnie przyswoić ich polszczyźnie. A jednak ten trud gimnazjalny, taki wówczas dla mnie nienawistny, nie okazał się daremny, bo dziś jeszcze mogę z łatwością przytoczyć długie ustępy „Połtawskiego boju", „Borodina", „Stepu" czy „Dniepru", a nawet początku „Słowa o wyprawie Igora", delektując się pięknem, którego wtedy wcale nie odczuwałem.

A jednak „Ławka i katedra" w szkole rosyjskiej stanowiła dla mnie antynomię. Mimo dobrych stopni i listów pochwalnych, które otrzymywałem przechodząc z klasy do klasy. Byli nauczyciele, których nienawidziłem i których się bałem, byli tacy, których szanowałem, było wielu obojętnych, ale żadnego, którego bym mógł pokochać. Wyjątek stanowił prefekt ks. Sonne, Europejczyk całą gębą, wyjeżdżający stale na wakacje do Włoch, Szwajcarii lub Francji, który religię, jedyny przedmiot wykładany po polsku, wykorzystywał czasem w nie przewidziany przez władze szkolne sposób, opowiadając nam o swoich podróżach albo zadając do domu wypracowania na tematy w rodzaju „Kochaj bliźniego" czy „Nie zabijaj", które pisaliśmy po polsku. Szanowałem przyrodnika Czefranowa, którego wykłady przejrzyste i bardzo zajmujące, a wypowiadane z niezwykłą swadą, pociągały nas do zbierania minerałów i suszenia roślin i który w ocenie naszych wiadomości był bardzo obiektywny i sprawiedliwy. Nie cierpiałem historyka i nauczyciela rosyjskiego Barsowa, który kiedyś w drugiej klasie, postawił mnie (o wstydzie!) do kąta za to, że na lekcji historii rosyjskiej jakiś obraz, który wędrował z ławki do ławki, aby go wszyscy uczniowie obejrzeli, przekazałem koledze siedzącemu za mną, nie poświęciwszy oleodrukowi uwagi. Pogardzałem renegatem Kościelskim, który uczył historii i języka rosyjskiego i był ultrapaństwowy, manifestując swą rosyjskość, choć z ojcem mym jako pacjent rozmawiał doskonałą polszczyzną. A zdobyłem sobie jego względy, jako „najlepszy" w klasie historyk, jakąś bardzo dobrą odpowiedzią z nowożytnej historii zachodnioeuropejskiej i jechałem na tej opinii drżąc zawsze, aby mnie nie zapytał z historii Rosji, do której miałem awersję i którą dlatego znałem słabo.

W szkole nie wolno było rozmawiać po polsku, ale nikt z Polaków tego zakazu nie przestrzegał, a koledzy Rosjanie byli na tyle delikatni, że nas nie denuncjowali. Nauczyciele w stosunku do nas używali tylko jednego terminu: „katolicy". Jakież było nasze osłupienie, kiedy nowy dyrektor (sam dyrektor!) Jeleniewski (chyba z Polaków), który przybył do nas z Częstochowy i widocznie na razie nie orientował się zupełnie, jakie zwyczaje panują w chełmskiej „guberni", po ostatniej lekcji, gdy odmówiono modlitwę po rosyjsku, nie wychodził jeszcze z klasy, czekając na ciąg dalszy, który nie następował. Wreszcie zwrócił się z zapytaniem: „A Poliaki — molitwu na polskom jazykie?" Ktoś z nas odmówił ją dość niezdarnie. Ale więcej już się to nie powtórzyło. Widocznie dyrektora uświadomiono.

A rygor? Po godzinie szóstej w zimie i ósmej w lecie nie wolno było wychodzić na ulicę. Szynel musiał być zapięty na wszystkie guziki. Kontrolowano to surowo. Do kina czy teatru chodziło się tylko za pozwoleniem na kartce podpisanej przez samego dyrektora i tylko w towarzystwie rodziców. Palenie papierosa na ulicy groziło wydaleniem ze szkoły. Może to nie było takie złe?

A kiedy w czasie wojny znalazłem się, jako „bieżeniec", w ósmej klasie gimnazjum w Sumach, gdzie otrzymałem świadectwo dojrzałości, — wydało mi się, że znalazłem się w raju. Co za swoboda! Co za tolerancja! Po polsku rozmawiało się głośno przy nauczycielach, spacerowało się do późnego wieczora, żadnych trudności w chodzeniu do kina czy teatru. Ba, Polacy, żeby podkreślić swą narodowość, nosili czapki gimnazjalne o kroju maciejówek. I nikomu to nie przeszkadzało. Poziom nauczania wielu przedmiotów był tu jednak niższy i oddając się w tym czasie namiętnie lekturze, chodząc często do kina i zdobywając serca koleżanek, a więc w rezultacie poświęcając nauce niewiele czasu, zdobyłem bez trudu maturę i to nawet ze srebrnym medalem.

Taka była moja „ławka". A o „katedrze" następnym razem.

X. Rovay

Paul Rogers (Makbet) i Barbara Jefford (Lady Makbet)

NA „MAKBETA"!

(Dokończenie ze str. 7)

monologów przez aktorów Old Vicu budzi najwyższy podziw wirtuozowską, rzekłoby się, autointrospekcją postaci, ich wnikliwym wydobywaniem z własnej jaźni — świadomości swego stanu psychicznego. Jest to szczególnie ważna cecha interpretacji roli Makbeta, klasyfikująca bardzo wysoko grę Paula Rogersa.

Tendencja do jak największej humanizacji występuje wyraźnie również w postaci króla Dunkana, którą tworzy Walter Hudd. Postać ta wypada częstokroć dość blado, konwencjonalnie, hieratycznie. Natomiast Dunkan Hudda jest królem-człowiekiem. Kiedy podnosi rannego Sierżanta, przypomina to gest Edwarda Wyznawcy, o którym mówi Malkolm, że leczy „dotkniętych plagą, opuchłych, we wrzodach".

W grze najwybitniejszych aktorów angielskich zachwyca muzykalna niemal kadencja namiętności. Z nieslabnącym napięciem śledzimy diminuendo przestępnej woli Lady Makbet i crescendo pasji zbrodniczej u samego Makbeta, dochodzącego do stanu, przy którym wszystko wokół wywołuje histeryczne podrażnienie.

Spektakl, opracowany z wielką precyzją, wydobywa z każdej roli zawarte w niej możliwości. Filarami przedstawienia są tacy aktorzy, jak wspomniani już: Barbara Jefford (Lady Makbet), Paul Rogers (Makbet) i Walter Hudd (Dunkan), jak William Russell (Makduf), George Baker (Odźwierny), jak zasłużona artystka Rosalind Atkinson (jedna z Czarownic, potem — Dama dworu) oraz Joss Ackland (Banko) i Job Stewart (Seyton).

Długo można by mówić o tym przedstawieniu, analizując mniej i więcej udane sceny, oceniając neoromantyczne dekoracje Michaela Annalsa, symboliczną wymowę niektórych kostiumów, nastrojowość efektów dźwiękowych Tristrama Cary'ego, zachwycając się zagraną con brio końcową sceną pojedynku, — ale nie piszę recenzji, spisuję tylko ogólne moje impresje.

Dość powiedzieć na zakończenie, że reżyseria Michaela Benthalla jest pięknym wzorem uczciwego i rozumnego współdziałania z Autorem. Przedstawienie, wierne dziełu Szekspira, jest przecie nowoczesne, bo Ten, o którym powiedział Ben Jonson *„He was not of an age, but for all time"* jest także „duszą czasu naszego". Przerastając swoją epokę, zostawił nam w puściźnie wiele myśli jeszcze nie odczytanych. Ale „nowe odczytanie" polega na odcyfrowaniu tego, co autor napisał, a nie na imputowaniu mu własnych tekstów i podtekstów.

*

„Oby nasi inscenizatorzy zechcieli wyciągnąć z dzieła Old Vicu właściwe wnioski!" — myślałam w drodze powrotnej do Lublina. Chyba tak myślał też niejeden aktor. Czasu na rozmyślania było dość, bo nasz San „Romeo" nawalił — o mało nie zgubił koła... Jeżeli był w tym symbol, to bądź co bądź z happy endem, ponieważ koło zostało zamocowane i wóz ruszył naprzód.

Maria Bechczyc-Rudnicka

Po zjeździe „pozytywnych bohaterów"

(Dokończenie ze str. 2)

retu młodzieżowego „Koński ogon", nawiązał do drzemiącej w młodzieży robotniczej gotowości do kulturalnego wyżycia się i do pewnych tradycji niedemokratycznych niektórych grup inteligenckich. Łza rozrzewnienia zjawiła się w oczach tych uczestników zjazdu, którzy w swoim terenie ze świeczką musieliby szukać takiej młodzieży robotniczej.

CAŁA nasza trójka lubartowska (nauczyciele — S. Skaruch, S. Duki i ja) specjalnie obserwowała na zjeździe uczestników-nauczycieli. Było ich oprócz nas czterech. Do głosu zapisałem się ja, kol. Skaruch i dwaj inni nauczyciele. Poruszyliśmy różne tematy. Przemówienie Skarucha było nadawane w audycji radiowej w niedzielę. Z powodu tego przemówienia musiałem wysłuchać po powrocie pewnych cierpkich uwag od osoby, która nie zrozumiała intencji mówcy i obraziła się za zwrot o Lubartowie, leżącym według niektórych, tam, gdzie „diabeł dobranoc mówi". O gorzki chlebie działacza kulturalnego! O mentalności ludzka! W drugim dniu obrad przemawiałem i ja. Skorzystałem z pewnych komentarzy z dnia poprzedniego na temat niektórych zwyczajów w prasie i dołączyłem swoje uwagi. Drobnostka, ale uderzająca niepotrzebnie w działacza kulturalnego. Kiedy w sierpniu ub. roku w powiecie lubartowskim zaczynała się organizacja tak zwanego „kulturalnego eksperymentu lubartowskiego", jedna z gazet lubelskich zamieściła w notatce o tej sprawie wzmiankę, że nauczyciele zatrudnieni przy tej pracy będą otrzymywali wynagrodzenie do 600 zł miesięcznie. Taka notatka obraziła lubartowskich nauczycieli. Stanęli oni do pracy nie ze względu na widoki korzyści materialnych, ale z racji swojej funkcji społecznej. Jest ich około 150. Do tej pory nikt z nich nie otrzymał żadnego wynagrodzenia. Uważamy, że lepiej o tych sprawach nie pisać w prasie, bo w niektórych środowiskach i tak już fałszywie ocenia się intencje działaczy kulturalnych i łączy się ich pracę z wielkimi wynagrodzeniami. Wspomniana wyżej moja pretensja do autorki szopki lubelskiej (owe zapłacone kujawiaki i polki) też wiąże się z tą krzywdą moralną nauczyciela.

Nie przywiozłem do Lubartowa dochowanego goździka zjazdowego. Przywiozłem jednak utrwalone przeświadczenie, że mimo przeszkód, jakie rzucają czasem pod nogi owe Scylle i Charybdy, o których tak pięknie mówił tow. Kraśko, praca „dziwaków" działających „bez mandatu" ma ogromne znaczenie społeczne i państwowe.

Adam Owsikowski

MARIA GÓRSKA

Podsumowanie

Rozdział zamknięty
(własnoręcznie odwrócona kartka)
dłoń błądząc uparcie
po wszystkich grudkach
nauczyła się na pamięć
jak ślepe palce pisma Braille'a

książka zostawiona
na sinych policzkach plaży
albo w jakiejś kieszonce
kolorowych uliczek
zimowy pasaż
rozwiewa rozgania stronice
co
że zamknięty rozdział
daleko został
kiedy książka jak jemioła
w pamięć wrosła

Nie rychło taki drugi powstanie Zamoyski,
Co by tak umiał władać i pióry i wojski,
A nikt nam do tych czasów nie dokazał tego...
Kto nałożył taki koszt na ludzi uczone?
Kto przywiedzie nauki w dom swój wyzwolone...
Wielce on sobie ważył mowę z uczonymi
Takie miał i nazywał przyjaciółmi swymi...

KS. Stanisław Grochowski pisząc panegiryk na cześć Jana Zamoyskiego nie przypuszczał zapewne, że w tym wypadku okazał się prorokiem. Przynajmniej jeżeli chodzi o Zamość. Istotnie — nierychło...

Po śmierci Hetmana, sławna Academia Zamoscensis i zamojska drukarnia zaczęły szybko „chylić się ku upadkowi".

O ile jeszcze syn — Tomasz spełnił po części pokładane w nim nadzieje, o tyle wnuk, także Jan, okazał się niezwykle przekorny...

O nim, sienkiewiczowskim Sobiepanie, współczesny mu Andrzej Morsztyn miał uzasadnione podstawy do napisania wierszyka, który jest raczej daleki od panegiryku:

„Zośka z Zamościa, Baśka z Turobina
Jewka z Zwierzyńca, z Krzeszowa Maryna
Te cztery k... z piątą panią starą
Pod dobrą idą na wędrówkę wiarą
Teraz, że z ślubną związki zwarte żoną,
Precz ich zapewne od dwora wyżoną...

Niestety. Nawet tutaj fatalny zawód. „Wziął swą Francuzeczkę bez grosza, dał jej wspaniałe wiano, dwanaście tysięcy talarów na szpilki, sto tysięcy talarów w upominku i wiele obietnic na przyszłość. Po czym pił dalej.." (Boy — „Marysieńka Sobieska").

Swoją drogą, gdyby „goły Janek" (nazywany tak z racji ogromnych bogactw) prowadził inny tryb życia, być może Maria Kazimiera d'Arquien nie zostałaby Marysieńką, Sobieski królem, nie byłoby odsieczy pod Wiedniem — jeszcze jednego klejnotu w koronie Przedmurza Chrześcijaństwa a wydra pana Paska umarłaby ze starości... Ile jednak może zdziałać jeden przekorny człowiek!

Wracając jednak do spraw Zamościa, wymieniona wyżej dodatnia cecha charakteru pana Jana odbiła się w sposób jak najbardziej niekorzystny na jego własnym mieście. Późniejsi ordynaci także nie kwapili się zbytnio do wydawania pieniędzy na kulturę, na miłe hobby swojego wielkiego przodka. Reszty dokonała sytuacja polityczna kraju. Jeszcze sto lat — zabór austriacki. Następne sto — siedziba „polskiego Medyceusza" carskim więzieniem politycznym. Pierwsza wojna światowa... Dwudziestolecie międzywojenne — tutaj nagłe ożywienie życia kulturalnego, Bolesław Leśmian, ambitna Teka Zamojska...

I znowu II wojna...

*

„Europejczyk przybywający do Iranu jest jak robak pełzający po skorupie orzecha. Orzech dla niego to przedmiot suchy, twardy, nieinteresujący. Kiedy jednak uda mu się znaleźć szczelinę i dotrzeć do jądra — rozsmakowuje się w nim. A kiedy później chce wyjść z powrotem, okazuje się, że zbyt dużo zjadł, aby przejść przez otwór".

Doktor Skotnicki wiele podróżował po świecie. Wreszcie osiadł w Teheranie. I gdyby wojna nie przerwała jego „perskiej" kariery (a do pacjentów doktora zaliczał się sam Szach Reza Pahlevi), kto wie, czy stara perska przypowieść nie zyskałaby jeszcze jednego przykładu potwierdzającego jej słuszność.

Widocznie los lubi płatać figle nie tylko ludziom, ale i przypowieściom. Okazało się, że ogołocona ze wschodniego smaczku może także stosować się do polskiego Zamościa. Tak przynajmniej twierdzi doktor.

W Teheranie dr Skotnicki brał czynny udział w działalności kulturalnej polskiej kolonii, w Zamościu także nie zrezygnował z pracy kulturalno-oświatowej. Oprócz pracy zawodowej (lekarz-okulista), pełnił funkcję przewodniczącego sekcji kulturalno-oświatowej zamojskiego Klubu Inteligencji. To on wpadł na pomysł zorganizowania spotkań-dyskusji cieszących się wielkim zainteresowaniem miejscowego społeczeństwa. Na dyskusję o lotach kosmicznych przyszło ok. 200 osób — rzecz w Zamościu niespotykana. Tematem najbliższego spotkania będzie „Rodzina i Prawo". Po krótkiej pogadance wstępnej wygłoszonej przez fachowca, w dyskusji bierze udział cała sala. Za najbardziej interesujące wypowiedzi przyznawane są nagrody.

Działalność sekcji kulturalno-oświatowej nie ogranicza się tylko do organizowania wieczorów dyskusyjnych. Przed kilkoma tygodniami sekcja przejęła w swoje ręce sprawę reaktywizacji Teatru Ziemi Zamojskiej, nosi się z zamiarem założenia kabaretu satyrycznego.

„Jednocześnie, wszystkie nasze poczynania hamuje brak własnego lokalu. Klub Inteligencji tuła się po prywatnych mieszkaniach, imprezy organizowane są w przypadkowych pomieszczeniach. Sytuacja byłaby rozwiązana, gdyby w Zamościu istniał Dom Kultury. Klub Inteligencji znalazłby tam schronienie. W obecnej chwili — powiedział mi na zakończenie dr Skotnicki — Dom Kultury w Zamościu to najważniejsza rzecz".

*

W Zamościu mała sensacja. Do miasta przyjechała znana francuska malarka — „Madame Zofia". Madame Zofia, to pseudonim rodowitej zamościanki, Zofii Kulaszyńskiej. Po pełnych sukcesów latach, spędzonych w Paryżu i Południowej Afryce, gdzie była kierowniczką Centrum Sztuki Zdobniczej, wróciła do Polski. Opuściła ją w 1929 r.

„Wobrażałam sobie wtedy, że Paryż to ósmy cud świata. Cywilizacja, postęp, technika... Może dlatego tak bardzo byłam zaskoczona zwykłą lampą naftową w pracowni Olgi. Tak, nie myli się pan, Olgi Boznańskiej. Jestem jej uczennicą. To był dziwny człowiek.

Kiedy wieczorami spacerowałyśmy po Montparnasse, Olga swoim strojem z epoki fin-de-siècle'u wzbudzała niemałą sensację nawet tam, w Paryżu, zobojętniałym na wszelkie ekstrawagancje.

Stara panna, o bardzo surowych zasadach, dla innych mogła być wyrozumiała, dla siebie — nigdy. Przy całkowitym, zdawałoby się, braku kobiecych cech charakteru potrafiła nagle wybuchnąć gniewem, kiedy zapytano ją o wiek, a o swojej dawnej rywalce nie wyrażać się inaczej jak „ta lafirynda". Zawsze poważna, miała przecież poczucie humoru. Kiedyś jeden ze znanych malarzy prosił, żeby oceniła jego ostatnią „martwą naturę". Boznańska wyraziła zgodę. „No dobry, dobry — powiedziała po obejrzeniu obrazu — ale pan chyba będzie jeszcze na tym malować?"

Zapamiętałam ją z nieodłącznym papierosem w ustach, dwoma pieskami — „Qui-qui" i „Lalique", wałęsającymi się po pracowni zaśmieconej czerwonymi pudełkami po mocnym tytoniu fajkowym, z którego robiła papierosy. Chciała umrzeć w Krakowie, jest pochowana na cmentarzu w Montmoreancy..."

Zofia Kulaszyńska myśli o pozostaniu w Polsce na stałe. W Zamościu chce zrobić wystawę swoich obrazów, brać czynny udział w życiu miasta. Tym bardziej, że córeczka Marguerite ucząca się w Liceum Sztuk Plastycznych, coraz większego przekonania nabiera nie tylko do Polski, ale i do samego Zamościa.

*

Od kilku lat, wicedyrektor Liceum Sztuk Plastycznych w Zamościu, Marian Iwańciów, stara się przeszczepić na teren Polski niektóre doświadczenia kolegów zagranicznych. Dziecięca Olimpiada Rysunkowa.

Jest to magiczne zdanie, które powoduje, że siwy, poważny dyrektor zrzuca w jednej chwili z grzbietu balast co najmniej dwudziestu lat. Mówi z zapałem, przekonywająco.

W 1957 r. wpadł na pomysł stworzenia olimpiad rysunkowych. Pierwsza olimpiada odbyła się już w r. 1958. Z pomocą przyszedł ZNP i Powiatowy Wydział Kultury. Tegoroczna olimpiada będzie już czwartą z rzędu.

Iwańciów postuluje hasło — „uczestnictwo mas w tworzeniu sztuki". Oczywiście chodzi nie o to, żeby wychowywać całe pokolenia przyszłych plastyków, ale o wychowanie inteligentnych odbiorców sztuki.

Podstawowym warunkiem olimpiady jest swobodna twórczość dziecka. Nauczyciel może tylko podsuwać pewne pomysły, zapoznawać z technikami malarskimi, służyć radą. Nadesłane prace dzieci są oceniane przez komisję złożoną z plastyków, najlepsze — nagradzane.

Już w pierwszym roku do olimpiady przystąpiło kilkanaście szkół. Obecnie akcja objęła niemal cały powiat zamojski. Oprócz olimpiady, utworzony w Zamościu Ośrodek Kultury Plastycznej organizuje wystawy objazdowe złożone z najlepszych prac dzieci zamojskich, a także wystawy twórczości dzieci innych krajów, m. in. Indii, Japonii. Dla nauczycieli prowadzi kursy dokształcające.

Niestety, ta interesująca akcja obejmuje tylko powiat zamojski. Marzeniem organizatorów jest rozszerzenie idei olimpiad dziecięcych na całą Polskę. „Jeżeli mogą być organizowane ogólnopolskie konkursy recytatorów, mówi Iwańciów, dlaczego by nie zrobić podobnych konkursów plastycznych z eliminacjami powiatowymi, wojewódzkimi, centralnymi". Dzieci odnoszą się do olimpiad z wielkim entuzjazmem. Malują poza godzinami lekcyjnymi, wkładają w swoją pracę dużo wysiłku i zapału. Często odnoszą sukcesy na zagranicznych konkursach międzynarodowych (Indie, Japonia). Największą trudnością,

(Dokończenie na str. 11)

MELANŻ KULTURALNY

MIROSŁAW DERECKI

Olga Boznańska w swojej pracowni

REWIA MODY

(Dokończenie ze str. 5)

i zawsze potem zapominał. Przypominał sobie dopiero wtedy, kiedy go znów zobaczył i chcąc go uspokoić mówił, że był w ministerstwie, że sprawa jest ciężka, ale obiecano mu, że zrobią wszystko, co tylko można, żeby opóźnić przeniesienie go na emeryturę. A potem to się stało wszystko tak nagle i w dodatku ten list przyszedł post factum.

Przeszedł się po kawiarni. W jednym z luster uchwycił swoje odbicie. Stanął, obciągnął poły marynarki. Garnitur leżał świetnie, muszka zawiązana była prosto, ale nie sztywno, z leciuteńką fantazją, po której od razu poznaje się ten gatunek elegancji zbliżony już do sposobu ubierania się artystów, ale bez ich swobody i nonszalancji, której w gruncie rzeczy nie znosił. Wreszcie odnalazł siebie. Niemłodego już, dobrze zbudowanego, zręcznego mężczyznę, który potrafi wywikłać się z każdej sytuacji. Odbicie było dokładne i wyraźne. Zdawało mu się nawet, że zbyt dokładne i zbyt wyraźne. W tej samej chwili jednak zauważył, że za jego plecami formuje się coś w rodzaju mglistego półkola, zaczynał już dostrzegać kontury pięciu postaci. Nie odważył się spojrzeć za siebie. Podszedł do okna. Nasłuchiwał, czy tamci poruszą się, czy usłyszy odgłos ich kroków. Nic nie usłyszał.

Wyjrzał na ulicę. Neony gasły i zapalały się nerwowo drgając różnokolorowym światłem. Na jezdni panował ruch, witryny sklepów były jaskrawo oświetlone. Przechodniów mało, ale wszyscy szli żywo gestykulując i rozmawiając głośno. Urywki niektórych rozmów dochodziły aż tutaj, na pierwsze piętro. Tylko czasem ulica bywa tak ożywiona, w święta wieczorem albo w Noc Sylwestrową.

Przy uchylonej kotarze szum miasta wlewał się szeroką falą — codzienny, zwykły, realny. Nie było w nim nic mglistego, niewyraźnego, wstydliwie zacieranego, gorzkiego. Oczywistość. Jasna oczywistość. Tempo. Technika. Radość życia. Gwar.

Zaczął się przyglądać przechodniom. Ze zdziwieniem spostrzegł, że widzowie, którzy byli na rewii mody, dopiero teraz wychodzili z „Centralu". Szedł dyrektor fabryki samochodów ze swoją żoną i przyjaciółką — najbardziej zgodny ze wszystkich trójkątów małżeńskich, grupa aktorów, śpiewaków i śpiewaczek z operetki, dziennikarze, wśród których poznał Andrzeja z „Przeglądu Ilustrowanego". Wszyscy mówili o oglądanej przed chwilą rewii mody. Ale najgłośniej zachowywali się dziennikarze. Aż tu dochodził głos Andrzeja, który śmiejąc się i wymachując rękami nie mówił, tylko krzyczał na cały głos:

— Założę się, że nie zwróciliście uwagi na pięć najpiękniejszych kreacji, pomysłu samego naszego mistrza Czesława. Kobieta z jarzynami, czyli Stabat Mater Dolorosa; pakuneczki i przydługi płaszcz, czyli „trącony psychicznie łyka korki", dziewica albo nimfa, czyli miłość nie zawsze jest słodka; student, czyli młody wściekły, w tabaczkowych spodniach i ramolu, czy ci nie żaal...

— O wilku mowa, a wilk tu. Właśnie idą! — odpowiedzieli koledzy.

Kierownik magazynu mód przycisnął czoło do szyby. Tak. Pięć jego postaci szło ulicą. Słyszał uwagi przechodniów. To jego matka. To przyjaciel, tylko on się teraz do niego nie przyznaje. To kochanka. Rywal? — nie, tylko pracownik. To stryj. Słyszeliście, że popełnił samobójstwo. Czy była w tym wina naszego pana Czesława? Kto właściwie w takich wypadkach może ustalić winę?

„Skąd oni o tym wszystkim wiedzą?" — myślał kierownik magazynu mód — „przecież to nieprawda, to sen, to zjawa, omam".

Znowu zrobiło mu się duszno. Zasłonił kotarę i odwrócił się tyłem do okna. W tej chwili zadzwonił telefon. Opanował się i podszedł do aparatu. W słuchawce poznał głos Andrzeja.

— Czesiek, to ty!? No nareszcie! Dzwoniliśmy do ciebie do domu i wyobraź sobie, ciebie tam nie było. Dzwoniliśmy chyba do dziesięciu lokali — z takim samym skutkiem. I dopiero mnie przyszło do głowy, że możesz być w „Centralu". No i jesteś! Co ty tam robisz?

— Ja... nic.

— To świetnie. Przyjdź do nas do „Spatifu". Wypiliśmy trochę, ale jeszcze możemy. Zresztą jesteś nam potrzebny. Właśnie przyniesiono mi zdjęcia z tej twojej rewii. Wybrałem pięć do dodatku niedzielnego.

— Pięć?!

— Co ci jest? Niedobrze ci? Tak, pięć. Płaszczyk z futerkiem na rękawach, jasny komplecik z ciemnym kapeluszem i długimi rękawiczkami, jesionkę z kołnierzem i toczkiem z rudego lisa, szalową suknię bez rękawów, z dużym dekoltem na plecach. I właśnie nie wiem czy dać ten ekstrawagancki trochę żakiet z błyszczącą lamówką, czy też...

— Poczekaj. Nie wybieraj beze mnie. Zaraz tam będę.

— No to na jednej nodze. Chyba złapiesz taksówkę.

— Mam nadzieję. Tymczasem czekaj.

Kierownik magazynu mód położył słuchawkę na widełkach i energicznym krokiem przeszedł przez kawiarnię. Po drodze zerknął do lustra. Garnitur leżał wyśmienicie. Nie wymagał żadnych poprawek. Reszta była złudzeniem.

Maria Szczepowska

W STRONĘ MŁODYCH

O SOBIE SAMYM

Zwróciliśmy się do środowiska młodych literatów w Lublinie z prośbą o krótką wypowiedź pt. „O sobie samym". Temat wypowiedzi nie został określony. Chodziło o uzyskanie choćby fragmentarycznych odpowiedzi na pytanie, kim są młodzi ludzie wchodzący do literatury, co myślą o niej, o świecie, o sobie, o rówieśnikach. Dla zapewnienia swobody i szczerości wypowiedzi ankieta była anonimowa.

Poniżej rozpoczynamy druk najciekawszych wypowiedzi.

* * *

Ze względu na zbyt szeroko „rozstawioną" problematykę ankiety poruszę tylko niektóre zagadnienia. Sprawą, której chciałbym poświęcić trochę miejsca, będzie zagadnienie mojego stosunku do twórczości własnej i twórczości moich rówieśników.

Nie wiem, może komuś „tworzenie" przychodzi łatwo, może traktuje to zajęcie jako rozrywkę? Mnie jednak nigdy nie udało się pozbyć tych wewnętrznych rozterek, rozczarowań, ciągłego podsycania wewnętrznego dramatu, podwyższonej temperatury emocjonalnej.

I może właśnie dlatego tak bardzo często zadaję sobie pytanie — dlaczego właściwie piszę? Odpowiedzi na nie na próżno szukam w zwykłej kalkulacji zysków i strat, pieniędzy i powodzenia, a nawet w porównywaniu radości i rozczarowań. Jedynie częściową odpowiedź znajduje w swojej „biografii", w swoim rozumieniu życia, stosunków międzyludzkich, w analizie swoich nadziei, radości i przegranych.

Dlaczego piszę? — Śmieszna wydaje mi się ta dziecinna próba usprawiedliwienia. Po prostu czuję potrzebę wyrażania tego, co myślę — słyszeliście to już setki razy — to wam powinno na razie wystarczyć. Czy jest to szczęśliwy zbieg okoliczności, czy tylko nie udana próba — czas pokaże.

Powszechnie uważa się, że jest w Polsce za dużo piszących, przy czym potępia się jednocześnie to zjawisko jako wygodną formę ucieczki od zadań codziennego życia. Chciałbym tych wszystkich, którzy tak jeszcze sądzą, wyprowadzić z kompromitującego ich błędu. Nie bądźcie zazdrośni o tych — waszym zdaniem — „wygodnisiów". Ilu z nich dzięki twórczości ułatwiło sobie życie, czy jak się to potocznie formułuje — „urządziło się"?

Należałoby raczej współczuć wszystkim początkującym, albo ich podziwiać. Zajmowanie się twórczością jest zawsze ryzykiem, tym większym, im poważniejszy jest stosunek do niej, tym większym, im więcej się na nią stawia, tym większym, im ściślej splata się ona z osobistym życiem.

Możecie mi wierzyć lub nie — liczę trochę na wasz obiektywizm — twórczość niesłychanie komplikuje życie. Zajmowanie się twórczością jest zawsze w jakimś stopniu „narażaniem się" codziennemu życiu, jest też na pewno ofiarą „z najlepszych dni" i z najbardziej wartościowej cząstki człowieka, rzadko należycie ocenioną i przyjętą.

Po pierwsze — o świecie. Prawa świata zgłębili filozofowie XIX wieku, zjawiska świata poznali w dużej mierze naukowcy XX w. Nie pomogło to jednak w rozszyfrowaniu zagadek istnienia. Człowiek został umieszczony w znanym sobie świecie, który stał się jeszcze groźniejszy, niż był poprzednio. Stąd otaczająca nas rzeczywistość jest bardziej wypełniona tragizmem, niż była dawniej. Zatraciło sens dawne widzenie epickie, poetyckie, dramatyczne w literaturze. Epika przyglądająca się życiu, szukająca magii, przygód i tajników, ubliża wiedzy współczesnego człowieka. Poezja, wiodąca drogami niespełnionych nadziei jest sentymentalnie bezsilna wobec mocy technicznych aktualnego „homo". Dramat, ujmujący w konwencje symbolu scenicznego tragizm losu człowieka, staje się dziś śmieszny. Dla literatury pozostała tylko jedna droga — jest to droga sprowadzania człowieka pod ścianę jego niewiedzy, jego tajemnicy, jego upokarzającej niemocy. Jest to dziwnie tragiczne wiązadło współczesnej konwencji artystycznej, wspólne wszystkim wybitniejszym pisarzom. Motyw osaczonego człowieka pojawia się u Faulknera w „Starym", u Ionesco w „Krzesłach", w „Czekając na Godota" Becketta, w „Tamie nad Pacyfikiem" Duraz, zjawia się również u pisarzy polskich, np. u Krzysztonia w „Kamiennym niebie", w poezji i prozie artystycznej Różewicza. Nie chodzi tu zresztą o szukanie nazwisk. Chodzi o wskazanie tendencji. Człowiek staje się jednym, który wygrywa walkę z poznaniem, pozostając zagadką. Nie mądrość, ani przyroda, ale człowiek. Z literatury coraz silniej zostaje eliminowane to, co jest poza ciałem i umysłem człowieka. Szuka się coraz mniejszych przestrzeni (piwnice, cele, tratwy, odludzia), coraz bliższe zestawienia płaszczyzn, by wśród nich właśnie umieścić istotę ludzką i analizować jej ruchy. To zacieśnienie przestrzeni scenicznej zbliża literaturę do sztuk plastycznych, co jest łatwiej dostrzegalne w poezji. Plastyka opisu wplecionego w narrację zostaje zastąpiona plastyką układu słów wróżących sytuację. W poezji pojawia się również jakby plastyka „niema", abstrakcyjna, u niektórych poetów sama kompozycja słów ma stawać się już przekaźnikiem znaczeń. Treść jest zawsze bardziej optymistyczna, gdyż winna wyjaśniać życie. Eliminowanie treści jest symptomem dekadencji. Ale współcześnie wydaje się to usprawiedliwione. Myślący homo cofa się przed tym, co stworzył. Nie może się jednak cofać dalej, niźli do miejsca, z którego już nie ma wyjścia. I to miejsce wydaje się szczególnie ciekawym obiektem dla zainteresowań współczesnych pisarzy. Człowiek pod ścianą, której nie podobna przekroczyć, spod której usiłuje się znaleźć wyjście inne — od znanej drogi śmierci.

Po drugie — o pisarstwie polskim. Poezja polska jest głębsza od prozy. W powieści polskiej ostatnich lat nie znalazłem nic takiego, co miałoby efekt prawdziwie nowej wizji. Wynika to z tego, że poezja znajduje się niejako w lepszej sytuacji, może przemilczeć konkret i jest sztuką, w której wyczucie może zastąpić znajomość rzeczy. Czas natomiast dla naszej prozy jest jeszcze wciąż za wczesny. Społeczeństwo polskie stałych przemian i osiągnięć, niestatyczne, stwarza realia trudne do ogarnięcia współczesną konwencją literacką.

Po trzecie — o sobie. Zawsze wydawało mi się, że świat literatury jest mi bliski, jako jeden z kręgów prawdy, bo tylko logicznie uporządkowana fikcja ma szanse prawdy, gdyż nie wymaga dowodu. Tylko, że literatura staje się dopiero w trudzie wielu godzin. Dwa lata minęło, odkąd zacząłem powieść, ale od czasu, gdy stałem się utrzymankiem pensji i gońcem optymizmu zarobkowego — nic piszę. Czasem wracam do książek przez krytykę literacką, ale zgryźliwość obserwatora z zaułku nie wróży mi na tym polu sukcesów.

TERMINUS a quo

WACŁAW TKACZUK

1. Każdy kolejny debiut prozatorski potwierdza tezę o znacznym zróżnicowaniu tendencyj artystycznych i tematycznych naszej młodej literatury. Jednak nawet bardzo dokładna znajomość tego zjawiska nie uchroni przed zdumieniem i zaskoczeniem czytelnika wobec wydanych niedawno utworów Krystyny Nepomuckiej, Józefa Lenarta i Ryszarda Lassoty[1].

Połączenie tych trzech nazwisk nie ma nic wspólnego z przypadkowością, nie decyduje o nim również jakiś nie umotywowany bliżej czynnik emocjonalny, czy pierwsza impresja, która nakazywałaby zamknięcie problematyki „Portretów", „Podróżnego" i nawet „Małżeństwa niedoskonałego" w nieco poszerzonych granicach schematu Macha i Konwickiego — „życie duże i małe".

Nawet pobieżna lektura omawianych debiutów neguje możliwość przytoczonego rozwiązania z taką samą kategorycznością, jaka decyduje o zupełnej odrębności tychże debiutów wobec powieści rówieśników. Jedyną drogą określenia i zrozumienia owej dziwnej autonomii jest ustalenie terminus a quo rodowodu literackiego książek Nepomuckiej, Lenarta i Lassoty.

Znaczną pomoc wyświadcza tutaj nie data umieszczona przez autora na końcu utworu, ale czas i miejsce akcji. Wyniki poszukiwań są zupełnie nieoczekiwane. Mimo zręcznego krygowania się młodych autorów (warto zaznaczyć, że z największą wprawą czyni to Lassota), mimo mylących uwag zamieszczanych na skrzydełkach obwoluty (w przypadku Nepomuckiej) proza całej trójki debiutantów daje się sprowadzić do wspólnego mianownika, który stanowi literatura dwudziestolecia międzywojennego, zaś terminus a quo „Portretów" Lenarta sięga nawet czasów pozytywizmu, jeśli weźmiemy pod uwagę technikę narracji i kompozycji.

2. „Małżeństwo niedoskonałe" Krystyny Nepomuckiej należy do książek zawdzięczających swój sukces temu, że odczytano je wbrew intencjom autora. Powieść tę, zamierzoną jako próba rozrachunku z epoką mieszczańskiego piekiełka, czytelnik przyjmuje na zasadach commedia dell'arte, albo złośliwego pastiszu maniery pisarskiej Nałkowskiej czy Brezy, podczas gdy młoda autorka zdaje się operować świadomie krzywym zwierciadłem jedynie w momentach kreowania postaci Busia.

Powieść Nepomuckiej wyróżnia się spośród wielu debiutów jednolitą kompozycją, co świadczy o dojrzałości artystycznej, zaś jeśli chodzi o wartości poznawcze, to nie wnosi nic nowego w naszą wiedzę o środowisku ubogich gryzipiorków — „pisz-panów" i zdeklasowanego ziemiaństwa. Tak więc „Małżeństwo niedoskonałe" niewiele ma wspólnego z autentyzmem społecznym np. „Dwudziestu lat życia" Z. Uniłowskiego.

Psychologizm Nepomuckiej często zbliża się do granicy patologizmu, ale nigdy jej nie przekracza, gdyż właśnie skretyniały Busio traktowany jest przez autorkę zgodnie z pewną przyjętą konwencją. Przekonuje o tym nie tyle opis jego poczynań warunkowanych intelektem, ile uwagi dotyczące postawy zewnętrznej: „Busio jeszcze ciągle oglądał w lustrze swój tors atlety na rachitycznych nogach (...)". Jest w tym określeniu jakaś beznamiętna złośliwość konstatowania faktu, która pojawi się jeszcze tylko w odniesieniu do rodziny Busia i hrabiego Olesia, narzeczonego ciotki Natalii, czyli do ludzi z kręgu „zgrywy".

Ową złośliwość czytelnik „Małżeństwa niedoskonałego" wyczuwa natychmiast i dzięki temu Busio jest zarazem kreaturą i karykaturą, co chroni powieść przed piętnem patologii.

Nie zdołał się natomiast ustrzec przed wpływami elementów burżuazyjnego psychologizmu Ryszard Lassota. W wyborze tematyki, w konstruowaniu akcji przypomina Lassota ciotkę Polcię z „Małżeństwa niedoskonałego", która w czasie posiłku opowiada swoją przygodę z soliterem, a gdy jej siostrzenica reaguje torsjami, komentuje to następująco: „A cóż to dziecko takie wrażliwe? Pewnie znów chora na żołądek! Daj jej, Tesia, na przeczyszczenie, to nigdy nie zaszkodzi".

Otóż ciocia Polcia mogłaby zostać uznana za patronkę wielu tendencji pisarskich końca dwudziestolecia, których to tendencji dziedzicem jest Ryszard Lassota.

Tom „Podróżny" prócz tytułowej opowieści zawiera dwie inne: „Troje dzieci na łące" i „Pierwszy dzień życia szkoły". We wszystkich afirmacja życia dokonuje się przez jego jak najbardziej okrutną w swej bezmyślności negację. Motywy postępowania swych bohaterów czerpie Lassota z kompleksów freudowskich, ale fakt ten nie zmienia postaci rzeczy — prawie bez zarzutu pod względem kompozycyjnym opowiadania nie liczą się zupełnie z realiami („Pierwszy dzień szkoły") lub z humanitaryzmem („Troje dzieci na łące").

Bohaterowie Lassoty stają wobec alternatywy: „albo życie małe albo duże" (domyślnie: złe, przynoszące śmierć), a nie wobec zaakceptowanej biegiem czasu i normalną koleją zdarzeń koniunkcji: „życie małe i duże" w rozumieniu schematu wypracowanego przez Wilhelma Macha i Tadeusza Konwickiego.

3. „Portrety" Józefa Lenarta, napisane w latach 1953—55, podejmują wymienioną wyżej problematykę zgodnie z zamierzeniami jej odkrywców z roku 1959. Brak jednak Lenartowi subtelności i konsekwencji pisarskiej, bowiem wbrew założeniom nie udało się mu ukazać drogi młodego proletariusza do partii. Dzieje Wojtka są co najwyżej obrazem kształtowania się świadomości klasowej, przy czym główną rolę odgrywa tu emocjonalizm, nie liczący się zupełnie z podstawowymi zasadami dyscypliny partyjnej.

Pisarstwo takie stanowi kontynuację pewnych błędnych tradycji tzw. literatury proletariackiej, czy też literatury z kręgu grupy „Przedmieście" i właśnie ze względu na te koligacje powieść Lenarta, mimo swego realizmu i zaangażowania, jest w warunkach państwa socjalistycznego anachronizmem (por. liczne uwagi S. Żółkiewskiego na temat literatury socjalistycznej).

4. Znaczenie trzech książek nie ogranicza się tylko do tego, że zadziwiają one swym rodowodem literackim czy ideowym. Książki Nepomuckiej, Lassoty i Lenarta są konkrentymi propozycjami. I chociaż te propozycje zostaną słusznie odrzucone przez prozę polską, to fakt ten nie jest równoznaczny z klęską artystyczną „Małżeństwa niedoskonałego", „Podróżnego" i „Portretów", czego chyba podkreślać nie trzeba. Nie wnoszące zbyt wiele pod względem formalnym utwory te są bowiem wynikiem próby solidnej pracy pisarskiej.

1) K. Nepomucka — „Małżeństwo niedoskonałe", Warszawa 1960. R. Lassota „Podróżny", Warszawa 1960. J. Lenart „Portrety", Warszawa 1960.

STEFAN PAWŁOWSKI

Zaginione klucze

MUSZLA skruszoną układa łuskę,
na skraju mówiącej dłoni.
— Tak morza fale na piasku.
Zaginione k l u c z e...
usta ust szukają
cisza.

Dopóki jadą wozy

Tak
jadą bez turkotu wozy,
tylko
jakiś rytmiczny stuk
wydaje się
że niebo chce obalić
i spłaszczyć ziemię.

Ślepota

Milcząc — żółta korono oczu,
jako rana rozlewasz ból, ciemność,
gdzie tylko starość dnia cię zgina
i zmywa czysto ulewa łez.
Gdzie świat odbity echem drzemie,
a myśl śmiercią serce ubija.

* * *

Kimkolwiek jesteś,
gdziekolwiek będziesz.
Cytując wiersz mój,
drugi i trzeci...
— Dziękuję Ci.

Może znajdziesz tu coś?
Co będzie Historią Twoją.
i jeśli z oka
wycisnę Ci łzę.
— Przepraszam.

Z LUBELSKICH WOJAŻY NARUSZEWICZA

(Dokończenie ze str. 4)

jaśniejszego Pana Ichmość PP. Dłuski Podkomorzy Lubelski i Ksawery Stoiński Szambelan J. K. Mci...

Później rozpoczęło się zwiedzanie miasta. Uwagę przyciągnął przede wszystkim sławny lubelski ratusz. Dużo pochwał otrzymał wojewoda Hryniewiecki za porządne i brukowane ulice, naprawione lub nowo wybudowane domy. Bardzo przychylnie oceniona została również działalność całej komisji „boni ordinis", która przyczyniła się „przykładnym staraniem", że miasto to starożytne, „niegdyś piękne i sławne", „a ostatnią Litwy z Koroną Unią za Zygmunta Augusta, oraz sądem Trybunału Koronnego od Stefana króla ustanowionego, znakomite, dawną swoją ozdobę przywróconą mieć poczyna". Naruszewicz z wrodzonym talentem historyka opisuje bogatą przeszłość miasta, nękające je niegdyś wojny i zniszczenia. Oburza się na niedbalstwo dawnych starostów, którzy nie troszczyli się o jego rozwój, pozwalając, aby gród upadał i pozbawiał się swoich ozdób. Oto dawniej „waliły się powoli domy murowane dla chudoby mieszczan od urzędu ciśnionych...", rozwijało się próżniactwo i bezprawie. Obecnym władcom grodu składa poeta poważny hołd uznania:

Naprawia te szwanki dzisiaj dozór miasta dobroczynny, oczyszcza z plugastwa, dźwiga domy i rozwaliny, wyprowadza mieszczany z długów i wkrótce da Bóg do pierwszego stanu przyprowadzi.

Z realiów lubelskiej architektoniki zaciekawiła go wielka ilość przedmieści zwanych: „Krakowskie, Wieniawa i Tatary". Zwrócił również uwagę na znajdujący się w pobliżu tzw. „słomiany rynek", „skąd naprzód wybuchnął ogień rokoszu Zebrzydowskiego na Zygmunta III". W przeciwieństwie do oceny drugiego wieszcza wieku Oświecenia — Ignacego Krasickiego, który nie pomijał żadnej okazji, aby wyrazić niechęć do lubelskiej stolicy, kozi gród uzyskał raczej przychylną adnotację w zapiskach Naruszewicza. Podróż przez Lubelskie nie była zresztą pierwsza. Król bawił w tych okolicach i w roku 1781. Jechał wówczas do Wiśniowca. Podróż rozpoczęta 9 października 1781 roku ukończona została 8 grudnia tegoż roku. Naruszewicz, jako wierny towarzysz króla we wszelkiego rodzaju podróżach, przekazał i wówczas współczesnym poetyckie impresje i notatki. W wierszu pt. „Podróż królewska do Wiśniowca" wspomnienia z Lublina łączą się jednocześnie z pochwałą gościnności jego mieszkańców:

Spiesznym krokiem znów twe, Lublinie,
Kraje odwiedzi monarcha strudzony
Przyjmiesz go świetnie w strudzonej gościnie;
Dwoistej łaski darem zaszczycony,
A dzierżąc jego szalę cnót wymiarem,
Będziesz ozdobą tronu i filarem.

Późniejszy biskup łucki nie zapomni w rejestrze zdarzeń i wrażeń i o innych miejscowościach Lubelszczyzny. Oto w roku 1787, kiedy król odbywał dalszy szlak podróżniczy, skierował się po pobycie w Lublinie do Krasnegostawu. Po drodze przystanął w Świdniku, Piaskach, Fajsławicach, Wierchówce, Krępcu etc. Krasnystaw — to miejscowość szczególnie uprzywilejowana we wspomnieniach i pamiętnikach. Długo rozwodzić się będzie nad piękną przeszłością tego miasta J. U. Niemcewicz w „Podróżach historycznych po ziemiach polskich". Naruszewicz również wspomina w dzienniku „szczęśliwe owe czasy dla ojczyzny naszej, kiedy waleczny hetman i dzielny kanclerz Jan Zamojski wziąwszy w Byczynie po odebranym sławnym zwycięstwie nad wojskiem cesarskim arcyksiążęcia Maksymiliana... pojmał i do Krasnegostawu odesłał: gdzie ten arcy-książę przemieszkiwał aż do zaspokojenia Rzeczypospolitej traktatami będzińskimi".

W Krasnymstawie prezentowały się „Najjaśniejszemu Panu" liczne lokalne znakomitości. Wśród nich znajdował się lubelski podkomorzy — Dłuski, komornik chełmski — Bielski, Kicki — starosta krasnostawski, Kochanowski — sufragan chełmski, Dobicki — pisarz grodzki krasnostawski i inni. Król zwiedził piękny i zabytkowy kościół katedralny „godny widzenia", jak pisze Naruszewicz, „dla pięknej swojej struktury i malowideł". W Krasnymstawie bawił również u ordynatów Zamojskich „przyszłych Kanclerstwa Wielkich Koronnych", którzy przybyli tu specjalnie z Zamościa, aby powitać władcę. Chociaż podróż odbywała się w niefortunnym okresie wiosennych roztopów, co utrudniało sprawność poruszania się po okolicy, królowi dopisywał stale dobry humor, czego Naruszewicz nie omieszkał skwapliwie odnotować.

Godne uwagi są również reminiscencje pisarza z poprzedniego pobytu Stanisława Augusta w Krasnymstawie.

Groźne dunajskim niegdyś orłom grody
Wznosi Krasnystaw i porosłe wieże.
Twoje to Lachu sprawiły niezgody,
Żeś dawnym krańcom poszedł na łupieże.
Przodkowie twoi ziemię szablą brali,
Gdy cnotę, honor i królów kochali.

Również skrupulatnie notuje autor „Chudego Literata" serdeczność społeczeństwa całego rejonu i jego przychylny stosunek do władcy. Rzecz jasna, dużo jest w tym kurtuazji samego Naruszewicza i, zrozumiałej dla pisarza związanego ściśle z królem, poetyckiej przesady.

Jedź, wszędzie znajdziesz poddanych kochanie.
Twoim jest królu cała Polska dworem,
Otoć, jak ziemię, ochoczy Lublanie,
Tak serca z równym podają otworem...

W wierszu tym uwiecznione zostaną i inne miejscowości Lubelszczyzny. A więc przede wszystkim „polskiego dom zacny Nestora". Naruszewicz zachęcał króla, aby odwiedził księcia Czartoryskiego i „z lat młodocianych mile ci Puławy". Pisał również o pobliskim Markuszowie i znanym z cnoty ich dziedzicu. Wspominał o „wdzięcznym" społeczeństwie Chełma itd.

Diariusz podróży Stanisława Augusta sporządzony przez Adama Naruszewicza oceniany jest bardzo różnie. Seweryn Bukar w pamiętnikach zarzuca mu pomijanie barwnych i interesujących detali. Wzbogaca opis o takie szczegóły, jak witanie króla przez obywateli poszczególnych rejonów już na granicach danego województwa w „mundurach województwa", nadmieniając, że damy nawet „miały ubiór jednakowy, koloru wojewódzkiego i w tym prezentowały się na balach, które dla króla dawane były". Pamiętnikarz przytacza również liczne realia obowiązujące przy tego rodzaju ceremoniałach, konotuje pieśni układane na cześć króla etc.

Chociaż Naruszewicz rzeczywiście nie zwraca największej uwagi na scenerię obyczajową podróży, interesuje go jednak przeszłość zwiedzanych okolic i wypadki, jakie się tu niegdyś rozgrywały. Traktuje diariusz przede wszystkim historycznie, dostarczając tym samym dużo ciekawych wzmianek o dziejach poszczególnych miejscowości.

Alina Aleksandrowicz

MELANŻ KULTURALNY

(Dokończenie ze str. 9)

jaką napotyka w swojej pracy Ośrodek Kultury Plastycznej, jest brak instruktorów.

W katalogu wystawy olimpiady rysunkowej z czerwca 1960 roku Marian Iwańciów napisał: „Porównując obecną, trzecią wystawę dzieci zamojskich z wystawami lat poprzednich widzimy ogromny postęp, wyrażający się w stosowaniu różnorodnych technik malarskich umożliwiających uzyskiwanie bogatych wartości plastycznych. Podczas gdy w pierwszym roku Olimpiady Rysunkowej uczestnicy posługiwali się tylko kredką lub akwarelą, a w drugim roku dodatkowo klejówką — na obecnej wystawie widzimy zastanawiające bogactwo. Obok tradycyjnej kredki, akwareli lub klejówki podziwiać możemy prace wykonane kolorowymi tuszami, monotypię, odprysk, kollaż, albo próby łączenia kilku technik jak np. akwareli z tłustą kredką, a tuszu z klejówką lub pastą do zębów..."

*

Cały czas była mowa albo o dzieciach, albo o dorosłych. Wydawałoby się więc, że młodzież, a w Zamościu jest trzynaście szkół średnich, bierze bardzo mały udział w życiu kulturalnym miasta. I do pewnego stopnia tak jest. Poza kinem i książką młodzież licealna nie ma żadnych rozrywek. Do kawiarni chodzić nie wolno, imprezy odbywają się przeważnie późnym wieczorem, ok. godziny 20, kiedy obowiązuje szkolny zakaz wychodzenia z domu.

Tutaj dużo może zdziałać silna w Zamościu organizacja ZMS, która ostatnio bardzo wiele uwagi przywiązuje do spraw kultury. Taką pierwszą zapowiedzią będzie organizowany w tej chwili klub młodzieżowy w piwnicy przy ulicy Zamenhoffa. Oprócz działalności rozrywkowej będzie skupiał szereg kółek zainteresowań, znajdzie w nim miejsce i teatrzyk młodzieżowy.

To w najbliższej przyszłości. W chwili obecnej działalność ZMS i współdziałającego z nim ZMW odnosi się głównie do młodzieży zatrudnionej w zakładach pracy i okolicznej młodzieży wiejskiej. Szereg działających na terenie miasta i powiatu zespołów dramatycznych, instrumentalnych i tanecznych jest wynikiem pracy tych dwu organizacji.

*

Oto kilka rozdziałów z życia kulturalnego Zamościa. Na terenie miasta działa wiele energicznych osób, każda pracuje jednak trochę na własną rękę. Nie ma placówki kulturalnej, która zgromadziłaby je na swoim gruncie, dała zaplecze lokalowe, materialne i nadała właściwy ton wspólnemu działaniu. Taką placówką dla wszystkich ugrupowań kulturalnych (i nawet dla entuzjastów „zoologu", dla miłośników zwierząt), powinien być i na pewno będzie Dom Kultury, którego budowę rozpoczyna się już w marcu br. Na jeszcze intensywniejszy rozwój życia kulturalnego wpłynie odrodzenie się starej Academii Zamoscensis w zamojskiej filii lubelskiego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Zamość stanie się znowu miastem uniwersyteckim. Po latach zupełnego upadku, jednak przy obecnym stanie rzeczy jest to miasto jednym z najżywszych ośrodków kulturalnych Lubelszczyzny. Tylko specyficzne warunki sprawiają, że na razie w ośrodku tym panuje pewne zamieszanie — taki melanż kulturalny.

*

Wspomniałem o „zoologu" więc à propos...

Trzeciego dnia po objęciu ZOO przez nowego kierownika, niedźwiedź wyłamał drzwi klatki. W ogrodzie powstała panika. Tymczasem zwierzę usiłowało przedostać się przez parkan ogrodu zoologicznego do miasta.

Tomasz Grabowski wyłamał kawałek okiennicy i z całej siły uderzył niedźwiedzia między oczy. Ogłuszone zwierzę skapitulowało. Teraz łatwo już było zapędzić je do klatki.

Mgr Tomasz Grabowski, kierownik zamojskiego ZOO, opowiada o tym wypadku, jak opowiada się o jakimś mało znaczącym epizodzie ze swego życia. „No cóż, zwykła sprawa, niedźwiedź wyszedł z klatki — trzeba było, żeby wszedł z powrotem..."

W swoim mikroskopijnym gabinecie kierownik częstuje mnie herbatą. Pyton zjadł kurczaka, zwinął się w kłębek i zasnął. Przez dwa tygodnie będzie wyglądał w swojej szklanej gablotce jak wypchany eksponat muzeum zoologicznego. Czy ktoś pił herbatę ze starej chińskiej porcelany, mając tuż pod ręką śpiącego pytona?! To niemal surrealizm.

Podchodząc zaś całkiem realistycznie do spraw ZOO zamojskiego... Ogród zoologiczny w Zamościu, założony w 1918 r. przez profesora zamojskiego gimnazjum Stefana Milera jako jeden z pierwszych w Europie szkolnych ogrodów przyrodniczych, przechodził różne koleje losu. Po okresie rozwoju, wojna, później brak zainteresowania ze strony władz i nieudolne kierownictwo — wyrządziły ogromne szkody. Kierownikami ogrodu byli kolejno: szewc, gajowy i kilku innych ludzi nie posiadających żadnych danych na powierzenie im tego rodzaju placówki.

Kiedy Grabowski przyszedł tu w 1957 r. — zastał ogród w rozpaczliwym położeniu. Zwierzostan był wyniszczony, połowa pozostałych przy życiu zwierząt — chora.

W 1961 r. ZOO może już się pochwalić 120 gatunkami. (W 1957 r. — 54 gatunki). Frekwencja zwiedzających, z 65 tysięcy w r. 1957, wzrosła do stu tysięcy w 1960.

Tyle cyfry. Kryją się za nimi trzy lata żmudnej pracy.

Kilka miesięcy temu prasę obiegła wiadomość, że w Zamościu w ZOO znajduje się cielak z dwiema głowami. Mówiło o tym Radio, zjechała Telewizja. Cielaka sfotografowano, sfilmowano.

Nie zwrócono jednak przy tej okazji uwagi na ciężkie położenie, w jakim nadal znajduje się ZOO. Jego największe w Polsce zagęszczenie zwiedzających jest po części także wynikiem najmniejszego w kraju obszaru zajmowanego przez ogród zoologiczny.

Klatki są stare, ciasne, brak wybiegów...

Dopiero ostatnio powiał lepszy wiatr. Ogród ma być przeniesiony. Projekty są już gotowe. Przyznany nowy teren położony jest pomiędzy dworcem kolejowym a ulicą Królowej Jadwigi. Lokalizacja zatwierdzona. Pieniądze też się znalazły.

Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zamościu podejmując decyzję przeniesienia i rozbudowania ogrodu zoologicznego wzięło pod uwagę fakt utworzenia w mieście, już w niedalekiej przyszłości, sekcji biologii i rolnictwa UMCS. Dlatego też ogród będzie rozbudowany ze szczególnym uwzględnieniem zwierząt domowych i półdomowych.

Sensację w mieście budził do niedawna Tomasz Grabowski spacerujący z Simbą u nogi. Simba, to duża, płowa lwica.

W dniu, kiedy Sesja MRN obradowała nad przyszłością ZOO, wybrali się razem z Simbą do Ratusza. Nikomu nie przeszkadzali, — usiedli cicho w kąciku.

Dziwne, że wszyscy byli jacyś zdenerwowani... I że wszystkie wnioski na temat ogrodu przeszły przez aklamację.

Mirosław Derecki

PRASA LUBELSKA

(Dokończenie ze str. 3)

liczyć wszelkie pisma ukazujące się dzisiaj na terenie Lubelszczyzny, nie chodzi zresztą o ich pełną bibliografię. Sprawą najważniejszą jest to, że w ciągu tych 300 lat zdołano wypracować sobie najbardziej postępowe oblicze, zdołano zdobyć społeczeństwo i wykorzystać z przeszłości to, co było w niej najlepsze.

Lata walki musiały wydać plon i chociaż jeszcze niejeden raz przyjdzie nam to i owo prasie lubelskiej zarzucić, to przecież pewną jest rzeczą, że gdyby któregoś dnia nie wyszedł „Sztandar Ludu", czy „Kurier Lubelski" — odczulibyśmy to z pewnością mocno. Prasa stała się nieodzownym atrybutem, towarzyszką naszego życia, do której zwracamy się po radę, informację, pomoc, czy rozrywkę. I to jest chyba największa nagroda dla prasy — ten jej awans społeczny będący ukoronowaniem 300 lat walki o postęp.

Roman Rosiak

PRZYPOMINAMY O KONKURSIE „KAMENY"

Włączając się do akcji „Wiedza pomaga w życiu" Redakcja „Kameny" ogłosiła konkurs pod hasłem:

„CZY ZNASZ GEOGRAFIĘ LITERACKĄ LUBELSZCZYZNY?"

Podajemy spis miejscowości ziemi lubelskiej związanych z urodzinami, życiem lub śmiercią wybitnych pisarzy, znanych z historii literatury polskiej:

BIAŁA PODLASKA, BIŁGORAJ, KOŃSKOWOLA, LUBLIN, NAŁĘCZÓW, PUŁAWY, REJOWIEC, WOLA OKRZEJSKA, ZAMOŚĆ

Rozwiązanie konkursu polega na podaniu, jacy pisarze wchodzą tu w grę. Zaznaczamy, że w stosunku do niektórych miejscowości trzeba podać kilka nazwisk.

Odpowiedzi należy nadsyłać pod adresem Redakcji „Kameny", Lublin, Graniczna 1-c, załączając poniższy kupon. Odpowiedzi bez kuponu są nieważne.

Uczestnicy konkursu, którzy nadeślą odpowiedzi najpełniejsze, otrzymają cenne nagrody rzeczowe i książkowe.

Na prośbę Czytelników przedłużamy termin nadsyłania odpowiedzi do dnia 15 marca br.

NOTY

ŻEGNAMY Miejską Radę Narodową, której skończyła się kadencja, i liczymy na to, że następna, którą wybierzemy w kwietniu, właściwiej odniesie się do życzeń Lubelskiego Oddziału ZLP i nazwie jedną z reprezentacyjniejszych ulic Lublina imieniem największego piewcy tego miasta — Józefa Czechowicza.

DZIESIĘCIOLECIE swego życia literackiego uczcił tygodnik krakowski dwudziestostronicowym numerem jubileuszowym, w którym zamieszczono utwory najwybitniejszych pisarzy, bliżej lub dalej z tym pismem związanych. Z wierszy chyba najlepsze Słonimskiego, Różewicza, Zagórskiego i Przybosia. Z innych pozycji na czoło wysuwa się wspomnienie Marii Dąbrowskiej o niedawno zmarłej Janinie Mortkowiczowej i „Najwyższy lad" Jastruna.

HYBRYDY, warszawski klub twórczy młodych, ma swój organ — „Widzenia". Program: „sztuka ideowa, bezgranicznie oddana człowiekowi, walcząca, humanitarna, sztuka związana z postępową kulturą narodów". Wiersze zawarte w „Widzeniach" tylko częściowo pokrywają się z programem. Ale dobre i to. Nie ma tu jednak bełkotu i zapatrzenia się we własny pępek, jak to bywa gdzie indziej. No i widać dążność do wypracowania sobie własnej formy warsztatowej. Kilka nazwisk z „Widzeń" figurowało już w „Kamenie".

DLACZEGO pożyteczny magazyn geograficzny „Poznaj świat", zamieszczający stale na ostatniej stronie jakąś mapkę, tak mało poświęca uwagi krajom czarnej Afryki? Zamiast Grecji, okolic Sztokholmu, Etny, Berlina itd., bardziej w tej chwili interesuje nas czarny kontynent. Gwinea i Rodezja to za mało. Przede wszystkim obchodzi nas obecnie mapa Kongo.

DLACZEGO „Szpilki" w swym bogatym numerze wydanym z okazji 300-lecia prasy polskiej, mającym charakter antologii autorów i pism satyrycznych w Polsce, od Reja do Hollendra i od „Monitora" do „Szpilek", zapomniały o pierwszym tygodniku satyrycznym w Polsce Ludowej — lubelskim „Stańczyku", którego ukazało się kilka numerów? A można było przypomnieć choćby ten skonfiskowany wówczas numer z dowcipnym wierszem pod karykaturą na froncie, że „Stańczyk" „bez względu na osóbkę będzie wszystkich walić w pupkę".

REKORD. Martwimy się, że „Kamena" ukazuje się czasem z kilkudniowym opóźnieniem. Ale oto rekord, który nas podniósł na duchu: 6 lutego nabyliśmy w kiosku najświeższy nr „Taternika"; ukazał się właśnie zeszyt 2 tego kwartalnika za rok 1960!

CHOCHLIK DRUKARSKI spłatał figla notom w poprzednim n-rze „Kameny": w nocie pierwszej obok Dickensa i Prusa ukazało się nazwisko „Zakrzewskiego" zamiast Żeromskiego.

-kaj-

KUPON

NA UDZIAŁ W KONKURSIE „KAMENY" POD HASŁEM „CZY ZNASZ GEOGRAFIĘ LITERACKĄ LUBELSZCZYZNY?" — OGŁOSZONYM W RAMACH AKCJI „WIEDZA POMAGA W ŻYCIU".

ZMOWA DZIAŁANIA

(Dokończenie ze str. 2)

czci H. Sienkiewicza wstawił telewizor kupiony za społeczne pieniądze i wokół niego skupił co kulturalniejszych mieszkańców tej osady. O Wojcieszkowie nie trzeba pisać, był on wyjątkiem, wysepką kulturalną, głównie dzięki działaczce kulturalnej z prawdziwego zdarzenia kierowniczce świetlicy i bibliotekarce w jednej osobie, Wandzie Strzeleckiej. W Anilinie, tym samym, w którym fantasta po trosze i marzyciel, kierownik szkoły Conkała potrafił wychować dobry zespół teatralny, dający regularnie przedstawienia w podworskim spichrzu, też przy pomocy władz powiatowych życie kulturalne znacznie się ożywi.

Podobnie i w innych miejscowościach, jak powiat łukowski długi i szeroki, sprawy kultury stają się sprawami dnia. O nich mówi się w długie zimowe wieczory w gospodarskich pogwarkach, o nich mówi się w lokalach gromadzkich rad narodowych, w szkołach i bibliotekach. Bo, jak w Lubartowie, do chwili stworzenia odpowiednich warunków świetlicom gromadzkim czy wiejskim będą się one mieściły w salach szkolnych, odpowiednio do tego przystosowanych.

Do czasu zaś wychowania wystarczającej grupy wykwalifikowanych kierowników świetlic rolę ich spełniać będą nauczyciele.

Zmowa działania wszystkich ludzi, którym kultura jest droga, trwa. Pierwsze owoce tej zmowy nie są jeszcze doskonałe. Ale są. Dalsze będą na pewno wartościowsze.

Andrzej Albigowski

O czym pisała „Kamena"

przed 25 laty

Lutowy numer (26) „Kameny" z roku 1936 zawierał artykuł A. Łaszowskiego „O postawie poetyckiej Lieberta", wiersze J. Brzękowskiego, J. Łobodowskiego i J. Pietrkiewicza, artykuł A. Baumgardtena „Młoda poezja ukraińska we Lwowie", przekłady z poetów ukraińskich (B. I. Antonycz, S. Hordyński, B. Krawciw i A. Kurdudyk), A. Baumgardtena i K. A. Jaworskiego, sonety Heinego „Do mojej matki" (w 80-lecie śmierci poety) w tłumaczeniu Z. Waśniewskiego, fragment powieści M. Szczepańskiej „Wiosna", polemikę G. Timofiejewa z K. W. Zawodzińskim w związku z artykułem „Wyzwalanie szatana i wyzwalanie anioła", przegląd poezyj K. A. Jaworskiego i noty. Zeszyt zdobiła wkładka linorytowa Zenona Waśniewskiego „Ilustracja do „Belladonny" M. Grońskiego.

Na wstępie numeru następujące słowa: „Cieniom Waryńskiego, Kunickiego, Bardowskiego, Pietrusińskiego i Ossowskiego, bohaterom „Proletariatu", w pięćdziesiątą rocznicę wyroku hołd składa redakcja i wydawnictwo „Kameny". Poniżej fragment z „Johna Browna" Norwida.

Z ciekawszych not cytujemy:

„CZY DONOS? „Prosto z mostu" potępiło stanowisko sen. Sieroszewskiego wobec Berezy Kartuskiej. Słusznie. Choć zbytecznie sięgnięto do przeszłości pisarza nieładnie nazywając korzystanie przez Sieroszewskiego z pomocy Cesarskiego Towarzystwa Geograficznego „przedzierzgnięciem się zesłańca politycznego w stypendystę". Ale jak wobec tego usprawiedliwić taką nagankę do Berezy Kartuskiej, jaką są zamieszczone w Nr 7 „Prosto z mostu" insynuacje W. Charkiewicza w stosunku do prof. Uniwersytetu Poznańskiego dr Stanisława Nowakowskiego? Szkoda, że red. Piasecki tak pilnie dbający o powagę swego pisma, przeoczył brzydotę tego „artykułu".

ABDERA. Rada miejska w Wadowicach pozbawiła E. Zegadłowicza obywatelstwa honorowego i przywróciła ulicy jego imienia dawną nazwę (Tatrzańska).

W N-RZE 2 „MYŚLI POLSKIEJ", nowego dwutygodnika warszawskiego, zamieszczono artykuł Stanisława Ziemaka „Sprawa St. Brzozowskiego". Autor streszcza tu całą historię oskarżenia i przebieg procesu, przytacza ważniejsze głosy w tej kwestii i w zakończeniu zestawia los Brzozowskiego ze smutnymi kolejami życia Mochnackiego. Dobrze, że „Myśl Polska" znowu podjęła sprawę, która czas największy zamknąć już ostatecznie, ogłosiwszy uroczystą rehabilitację świetnego pisarza.

LEPSZEGO SPECA powinna wyszukać sobie „Myśl Polska". I piszącego nie po rosyjsku („pod tą nazwą należy rozumieć" nr 1) i bardziej orientującego się w sprawach, o których pisze. Zarzucając (nr 2) Bąkowi „pensjonarską naiwność" za stanowisko zajęte w „Pionie" w związku z artykułem Fr. Siedleckiego („Skamander" zesz. 66), Spec bezapelacyjnie stwierdza, że „istotnych arcydzieł" (ani dla dzieci, ani dla dorosłych) w Rosji Sowieckiej nie ma, i wątpi o możliwości drukowania tam Kiplinga bez „retuszu ideologicznego". Oczywiście Spec o wszystkim wie lepiej od Siedleckiego, który omawiane przez siebie książki czytał. Spec nie uwierzyłby, gdyby mu oświadczyć, że w Rosji przekłada się masowo klasyków, tłumaczy się nie tylko Kiplinga, ale i Wellsa, Conrada, Gide'a, Romainsa, Dreisera, Dos Passosa i innych a nawet Prousta, którego się w Polsce nie możemy doczekać. Nie uwierzyłby, choćby mu pokazać katalog. Powiedziałby — blaga. A może by się przeszedł do Gebethnera i Wolfa i przejrzał znajdujące się tam na składzie wydawnictwa rosyjskie. Może by zrozumiał, że wolno nie zgadzać się z komunizmem, wolno go zwalczać, ale należy uznać pracę kulturalną sąsiada".

Z Kubą na widowni

Leśmian dla dzieci

Lubelski Teatr Lalki i Aktora jest instytucją równie użyteczną jak żywą; wyraża się to między innymi dużą ruchliwością w poszukiwaniach repertuarowych. Ale niestety z repertuarem dla placówek tego typu nie jest najlepiej. Wprost przeciwnie. Wszelkie pretensje głoszone pod adresem polskiej dramaturgii współczesnej przez teatry dorosłych z tym większą racją mogą być powtarzane przez teatry małych widzów. Gdybyż tak na przykład chciał napisać jaką sztukę dla dzieci Jerzy Broszkiewicz, ciekawy dramaturg, a przy tym pisarz, który swą „Wielką, większą i największą" dowiódł, że nic co dziecięce nie jest mu obce... Ale to marzenie ściętej głowy, aby ktoś z „poważnych" dramaturgów zajął się tymi „niepoważnymi" sprawami. Jak na razie teatry dla dzieci skazane są prawie wyłącznie na adaptacje — adaptacje w wielu wypadkach nie najlepsze i nie zawsze trafne, jeśli idzie o wybór „obrabianego" dzieła. I tak, moim zdaniem przykrawanie do potrzeb młodej widowni — Leśmiana jest jakąś zasadniczą pomyłką. Twórczości Leśmiana z jego metafizyką śmierci, zapomnienia, przemijania, tęsknoty, zaświatów — dziecko zrozumieć nie może i nawet nie powinno. Adaptacja albo będzie wierna Leśmianowi, a wtedy nic po niej dzieciom, albo odejdzie od Leśmiana — a w takim razie po cóż zasłaniać się wielkim nazwiskiem? Tak też i „Baśń o pięknej Parysadzie" w kulturalnej skądinąd przeróbce Natalii Gołębskiej w pewnej warstwie jest dla dzieci niedostępna, w innych — ma z Leśmianem niewiele wspólnego. A przecież opowieść o tejże samej Parysadzie w swej wersji oryginalnej, tak jak ją przekazały „Baśnie z tysiąca i jednej nocy" — fabułą mało co różni się od leśmianowskiej, a zasadniczą treścią moralną jest dla dziecinnego umysłu nieporównanie bliższa. Czemuż więc nie sięgać wprost do niej? To także klasyka i to najczystszej wody.

Ta sprawa repertuarowa wysunęła mi się na plan pierwszy, bo z jednej strony doceniam w pełni ambicję zespołu, pragnącego sięgać po teksty literacko cenne, z drugiej — wydaje mi się, że w tym wypadku ryzyko było duże i nie dało najlepszego rezultatu.

Z baśni leśmianowskiej został w adaptacji kościec fabularny i okrojone dialogi; problematyka i nastrój z konieczności w dużej mierze odpadły na rzecz pewnych wtrętów dynamizujących akcję (sceny ze zwierzętami, ze stworami). Problematyka w teatrze dla dzieci byłaby zresztą, jak zaznaczyłam, nie bardzo na miejscu, co do nastroju — mogłaby go może w części wyczarować jakaś wyjątkowo wyrafinowana i pomysłowa scenografia. Jak dowiodły poprzednie spektakle, scenograf „Baśni", Fred Kosmala jest na pewno zdolny i rokuje duże nadzieje, ale postawione mu tutaj trudne bardzo zadanie przerasta na razie jego możliwości. Scenografia jest niejednolita pod względem stylu (na przykład w jednej odsłonie: ekspresjonistyczna lalka Pustelnika, zalatująca formizmem skala i do tego chmurki przypominające do złudzenia muszlę z „Narodzin Wenery" Botticellego...). W nielicznych tylko elementach scenografia zbliża się poniekąd do fantastyki leśmianowskiej, najbardziej chyba w tańcu mgieł, jakoś po leśmianowsku niedopowiedzianych.

Ale może piszę to wszystko z pozycji bardzo „dorosłych"? Ostatecznie dzieci śledziły widowisko z napięciem, a wydelegowany przez Kubę czteroletni Grześ nie marzy już o niczym, jak o powtórnej wizycie w teatrze. Co prawda, najbardziej mu się podobało „jak tam jeździli na konikach"...

Nasuwa mi się pewna propozycja: czy dla zaspokojenia ambicji zespołu nie dałoby się pomyśleć o realizowaniu — bodaj całkiem kameralnie, np. w Klubie na Zamku — małych spektakli dla dorosłych, które pozwoliłyby młodemu Zespołowi mierzyć się z tekstami większego formatu, zmienić perspektywę widowni, rozejrzeć się we własnych możliwościach — które jednym słowem, byłyby laboratorium Teatru?

Sądzę, że warto by spróbować.

Anna Tatarkiewicz

KSIĄŻKI NADESŁANE

Wł. Łukasiewicz — Głód niezaspokojony, PIW, Warszawa 1960.

Bolesław Prus — Kroniki, tom dziewiąty, PIW, Warszawa 1960.

Stanisław Zieliński — Statek zezowatych, PIW, Warszawa 1960.

J. Gomulicki — Wiersze, PIW, Warszawa 1960.

Mieczysław Jastrun — Między słowem a milczeniem, PIW, Warszawa 1960.

Zygmunt Krasiński — W stulecie śmierci, PIW, Warszawa 1960.

Rysunek na str. 5
Jerzy Moszyński

Dwutygodnik literacki „Kamena" * Redaguje Kolegium * Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich * Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c * Telefon: 36-45 * Redakcja rękopisów nie odsyła * Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4. Zam. 597. 4.II.61. Nakład 1000. — W-3.